PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

KWIECIEŃ 1995 ROK VI NR 4 (51) CENA 70 gr (7000 zł)

W NUMERZE:

W domu Piotra, gdy siadało się do wielkanocnego śniadania, jeden stół dotąd w zupełności wystarczał. W tym roku, aby pomieścić wszystkich gości, trzeba będzie dostawić drugi.

Piotr — trzecie pokolenie

Uciekinierzy szczególnie dotkliwie odczuwali brak wody i obroku dla zwierząt pociągowych, z których był doszczętnie ogołocony główny szlak, którym ciągnęli uciekinierzy.

Ucieczka w głąb Rosji

Tego dnia, pod wieczór, od strony Malesz do wsi na pięciu furmankach wjechał oddział wojska. I od razu zaczęli chodzić po domach, rabować i zabijać ludzi. Ja z babcią siedziałem w domu, na takiej szerokiej ławie, które wtedy były modne.

Zemsta po latach

GOSPODARZ



str. 14

CZASOPIS
PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY
UKAZUJE SIĘ CO MIESIĄC
15-001 Białystok, ul. Suraska 1, skr. poczt. 262, tel. 42-11-05

Wydawca:
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich w Białymstoku

REDAKTOR NACZELNY
JERZY CHMIELEWSKI

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk, Jerzy Kalina (sekretarz redakcji), Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik, Andrzej Gawryluk, Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk, Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk, Mirosława Łuksza, Antoni Mironowicz, Jan Mordań, Sławomir Nazaruk

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
"Offset-Print", ul. Zwycięstwa 26B, Białystok

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 1,20 zł na rachunek:
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich
PBK I/O Białystok 370406-6262-132
Nr indeksu: 355035
ISSN 1230-1876

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, zmian tytułów i redagowania nadesłanych tekstów.
Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy.

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej i Fundację Stefana Batorego w Warszawie.
Numer zamknięto dn. 1995.03.25.

OPINIE

POGLĄDY

Прыезд прэзідэнта Б. Ельцына на Беларусь не стаўся падзеяй. Ні ў свеце, ні ў Расіі, ні ў Беларусі. Ці не таму, што ехаў ён з візітам не ў дзяржаву Беларусь, а, як абвяшчалася ў расійскіх сродках масавай інфармацыі, у горад Мінск... А ўрэшце аказалася, што ён проста быў у гасцях у свайго маладога калегі А. Лукашэнкі. Менавіта такую выснову можна зрабіць па выніках візіту. Бо падпісаныя дакументы нікога да нічога не абавязваюць, і невядома яшчэ, ці будуць ратыфікаваны парламентамі. Вынікавая прэс-канферэнцыя з удзелам кіраўнікоў дзяржаў, як гэта заведзена ў цывілізаваным свеце, не адбылася. Ці не таму, што гаварыць на ёй не было пра што, акрамя „асноўнай думкі", якую выказаў Б. Ельцын на сустрэчы з прадстаўнікамі творчай і навуковай інтэлігенцыі: „покушали хорошо..."

„Літаратура і мастацтва", 24 лютага 1995 г.

Niektórzy działacze z BTSK, nazwijmy ich otwarcie — z pokomunistycznej resztówki — nie chcą przystosować się do współczesnych realiów prawnych i ustrojowych.

Leszek Koleśnik, rzecznik prezydenta Białegostoku, "Kurier Poranny", 24-26 lutego 1995 г.

Яшчэ да сярэдзіны мінулага года наша былая выканаўчая ўлада імкнулася да аб'яднання з Расіяй. І калі б быў рэалізаваны да канца добра вядомы праект дагавора аб аб'яднанні грашовых сістэм, то гэта фактычна стала б добраахвотным далучэннем Беларусі да сваёй вялікай суседкі. І нам дэ-факта прыйшлося б развітацца з суверэнітэтам. На шчасце, гэта не адбылося. Некаторыя ж ініцыятары знішчэння нашай дзяржавы і сёння пры ўладзе.

Уладзімір Сянько, міністр замежных спраў Беларусі, „Наша слова", 1 сакавіка 1995 г.

Brak polskiej polityki wobec Białorusi jest tak zupełny, że wręcz niepodobna ją analizować. Trudno bowiem deliberować o czymś, czego nie ma lub prawie nie ma.

Sokrat Janowicz, "Nowe Kontrasty", marzec 1995 г.

Być może w całym tym zgiełku, w tym prasowym hałasie, nie chodziło o budynek przy ul. Warszawskiej, ale o pretekst do kampanii przeciw władzom miasta, co w konsekwencji szkodzi reputacji Polski, w celu, który w tej chwili jeszcze nie jest znany.

Andrzej Lussa, prezydent Białegostoku, "Gazeta Współczesna", 1 marca 1995 г.

Przybycie na Białoruś każdego nowego księdza powoduje z reguły rozdrażnienie wśród przeciwników odrodzenia katolicyzmu i polskości na naszej ziemi. Szczególnie, gdy kapłani przyjeżdżają z Polski. Przybycie sług Bożych zza Buga odbierane jest jako ekspansja duchowa sąsiedniego państwa. "Zapraszajcie z każdego państwa, byle nie z Polski" — mówią spadary. Pomimo że język polski rozbrzmiewa w świątyniach od chwili ich powstania, są jeszcze tacy, których bardzo

---

Нашым супрацоўнікам, карэспандэнтам і ўсім Чытачам шлем найлепшыя велікодныя пажаданні

Рэдакцыя

WYPOWIEDZI

drażni ten język u ołtarzy.
"Głos znad Niemna", 6-12 marca 1995 r.

Znaczna część Polaków nie uświadamia sobie podstawowych zasad demokracji, które mówią, że obywatel współrządzi państwem i za to współrządzenie ponosi odpowiedzialność. Niewątpliwie wiele zasad demokratycznych można znaleźć w gazetach, oficjalnych deklaracjach, ale w duszach Polaków ich nie widać, ponieważ ciągle odzywają się w nas skrajnie nacjonalistyczne poglądy.
Andrzej Kaliciński, "Gazeta Współczesna", 10-12 marca 1995 r.

Z inicjatywy Kościoła katolickiego w Polsce trwał tydzień modłów o jedność chrześcijan. Inicjatywa ze wszech miar godna uznania i poparcia, gdyby nie pewne fakty. Jak wiadomo, abp białostocki Szymecki oprotestował decyzję szefa URM dotyczącą zwrotu Kościołowi prawosławnemu jego historycznej własności — monasteru w Supraślu. Dbały o interes mieszkańców regionu ksiądz arcybiskup widzi potrzebę ulokowania w monasterze instytucji użyteczności społecznej. Jego intencja jest oczywista: wara prawosławnym od ich monasteru! Na marginesie sporu hierarchowie Kurii białostockiej ujawniają swoje widzenie praw prawosławnej mniejszości wyznaniowej, konkludując: uwzględnianie potrzeb Kościoła prawosławnego jest sprzeczne z polską racją stanu i prowadziło zawsze do osłabienia Rzeczypospolitej. To swoiste rozumienie praw mniejszości wyznaniowych pozostaje w rażącej sprzeczności z konstytucją, a już absolutnie nie da się pogodzić ze wzniosłą ideą ekumenizmu.
"Polityka", 18 marca 1995 r.

Bogactwo różnorodnych obiektów sakralnych to efekt koegzystencji różnych kultur i nacji. Pobazyliański zespół klasztorny w Supraślu, tam także remontowana jest cerkiew obronna... Wpływy kultury prawosławnej to głównie XIX-wieczne cerkwie w Białymstoku, Wasilkowie i Sokółce. Białostocczyzna obfituje także w bogate pozostałości architektury ludowej. Kryte strzechą chałupy, stodoły, lamusy...
"Białostocczyzna zaprasza", katalog ofert turystycznych, wydany przez Agencję Reklamową HOT, Białystok 1995 r.

SPIS TREŚCI

Fot. na okładce Siegward SCHMITZ
("Annaherung — Zbliżenie, Impresje Fotograficzne z Polski")

КРАСАВІК


фота М. Лукшы

...гадоў таму

725 — 1270 г. Першыя ўпамінанні ў летапісах пра „Пагоню" як герб Старабеларускай дзяржавы (Вялікага княства Літоўскага).

495 — 1500 г. Знішчальнае нашэсце крымскіх татараў на Берасцейшчыну і паўднёвую частку сённяшняй Беласточчыны.

400 — 1595 г. Паўстанне казакаў і беларускага сялянства пад кіраўніцтвам Севярына Налівайкі супраць уціску і паланізацыйнага засілля.

340 — 1655 г. Гетман Вялікага княства Літоўскага Януш Радзівіл парваў люблінскую унію 1569 г. з Польшчай і ад імя Вялікага княства Літоўскага заключыў унію са Швецыяй.

110 — 14.04.1885 г. нар. Сымон Рак-Міхайлоўскі (загінуў у засценках НКУС у 1937 г.), настаўнік, рэдактар і публіцыст у заходнебеларускім друку, пасол Сейма, дзеяч Беларускай сялянска-рабочай грамады, часта бываў і выступаў на мітынгах і сходах на Беласточчыне.

105 — 12.04.1890 г. нар. Янка Нёманскі (сапраўдн. Іван Пятровіч, расстраляны забойцамі НКУС 30.10.1937 г.), друкаваўся з 1918 г., аповесць „Партызан", раман „Драпежнікі", апавяданні, нарысы.

75 — **14.04.1920 г. нар. у в. Страшава каля Гарадка на Беласточчыне Аляксей Карпюк (пам. 14.07.1992 г.), пісьменнік, партызан, грамадскі дзеяч, друкаваўся з 1953 г., аповесці „Данута", „Вершалінскі рай", раман „Карані", апавяданні; часта наведваў Беласточчыну.**

55 — 1.04.1940 г. нар. Уладзімір Басалыга, заслужаны мастак і грамадскі дзеяч, працы: цыкл графікаў „Шануйце роднае слова", „Помнікі дойлідства Беларусі", „Неба Бацькаўшчыны", ілюстратар дзесяткаў кніг беларускіх аўтараў.

50 — 1945 г. адкрыццё ў Мінску Беларускага тэатральна-мастацкага інстытута, сённяшняй Беларускай акадэміі мастацтваў, заслужанага гадавальніка беларускіх сучасных мастакоў і акцёраў.

9 — 26.04.1986 г. трагічная катастрофа на Украіне на Чарнобыльскай атамнай электрастанцыі, якая забрудзіла нуклеідамі значную частку Беларусі і акалечыла вялікую колькасць яе насельніцтва.

Сведка ўчарашняга дня

Быў чалавекам часу, у якім давялося яму жыць. Аднак талент творцы і жыццёвы вопыт не дапусцілі яго, каб цалкам паддаўся пануючай ідэалогіі.

Аляксей Карпюк нарадзіўся ў Страшаве каля Гарадка ў сярэднезаможнай сялянскай сям'і, якая змагла даць сыну пачатковую эдукацыю і накіраваць у віленскую гімназію. Вайна кідала яго з роднай хаты ў антыфашысцкую дыверсійную групу, з яе — у гітлераўскі канцлагер у Штутгофе. Адтуль яму ўдалося ўцячы, вярнуцца на радзіму. Тут узначаліў ён партызанскі атрад імя Кастуся Каліноўскага. Калі Беласточчына была вызвалена, А. Карпюк рушыў са сваім атрадам, ужо ў радах Савецкай Арміі, на захад, быў двойчы паранены, але праслужыў у страі да Перамогі. На Беласточчыну не вярнуўся, выбраў Гарадзеншчыну. Затым была вучоба, настаўнічанне, журналістыка, інтэнсіўная грамадская дзейнасць.

У літаратуру ўвайшоў раптоўна і напорыста ў 33-гадовым узросце аповесцю „У адным інстытуце", спелай, хаця і прасякнутай палітрукоўшчынай. Потым паявілася прачуленая, сентыментальная „Данута", у якой адлюстроўвалася палымянае першае юнацкае каханне беларускага хлапца да дзяўчыны-полькі напярэдадні ваеннай навальніцы. Аповесць „Пушчанская адысея" — гэта водгулле перажатага пісьменнікам-камандзірам партызанскага атрада на Беласточчыне. Ну і надта ж дыскусійны „Вершалінскі рай", у якім А. Карпюк у вельмі рэзкай форме асудзіў і высмеяў беларускі просты люд Беласточчыны, загнаны нэндзай і бесперспектыўнасцю міжваеннага часу ў абдымкі цемрашальства і ашуканства.

Адыйшоў А. Карпюк разам са сваёй эпохай. Для нас ён застаецца даравітым майстрам беларускага слова, які ўвёў у агульнабеларускую літаратуру ўчарашні, адыйшоўшы ўжо ў нябыт, дзень беларусаў Беласточчыны, асабліва Гарадоччыны.

Мікола ГАЙДУК

Białystok

● 22 lutego wiceminister Kultury i Sztuki Michał Jagiełło był gościem wojewody białostockiego Andrzeja Gajewskiego. Tematem spotkania były problemy związane z dalszym losem siedziby ZG BTSK w Białymstoku. Zakomunikowano, że BTSK nie grozi eksmisja z obecnie zajmowanego lokalu. Ponadto wojewoda zobowiązał się wystąpić do rządu z prośbą o uwzględnienie w projekcie budżetu na 1996 r. środków na "istnienie silnego ośrodka kultury białoruskiej w Białymstoku".

● 23 lutego wicewojewoda białostocki Grzegorz Rykowski spotkał się z radcą handlowym Ambasady RB, Mikołajem Pietruszkiewiczem i przedstawicielką Centrum Informacji Związku Przedsiębiorców Białorusi, Haliną Illiaszuk. Rozmowy dotyczyły możliwości podpisania porozumienia o współpracy między Białostocczyzną i Grodzieńszczyzną, omówiono również możliwości utworzenia Informacyjnego Centrum Handlowego w Białymstoku oraz w Grodnie i Mińsku.

● 14 marca przedstawiciele Związku Białoruskiego w RP spotkali się z prezesem i redaktorem naczelnym Radia Białystok, Jerzym Muszyńskim. Zostały omówione problemy związane z funkcjonowaniem programów białoruskojęzycznych w Radiu Białystok. Przewodniczący ZBwRP Eugeniusz Wappa postulował zwiększenie czasu ich emisji, wprowadzenie nowych audycji tematycznych: młodzieżowych, historycznych, literackich, oświatowych, nadawanie serwisu informacyjnego w języku białoruskim oraz drugiej premierowej audycji w godzinach rannych. Prezes Muszyński stwierdził, że na dzień dzisiejszy nie widzi możliwości rozszerzenia czasu audycji białoruskojęzycznych, gdyż podobnie chcą Litwini i Ukraińcy i zadowolenie wszystkich odbyłoby się kosztem rentowności firmy. Ze swej strony zaproponował przeprowadzenie dyskusji z zainteresowanymi środowiskami na temat treści audycji już istniejących oraz stworzenie nowej audycji poświęconej problematyce mniejszości narodowych w języku polskim.

Związek Białoruski wystąpił do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji o zwiększenie czasu audycji białoruskojęzycznych w Radiu Białystok.

● 15 marca Senat Uniwersytetu Warszawskiego podjął decyzję w sprawie usamodzielnienia Filii w Białymstoku. Zdaniem prof. Władysława Serczyka, prorektora UW ds. Filii w Białymstoku, jest to doniosła uchwała, która stwierdza, że Filia osiągnęła już taki poziom rozwoju naukowego, dydaktycznego i organizacyjnego, że czas pomyśleć o przekształceniu jej w samodzielny uniwersytet. Obecnie jednak uczelnia nie spełnia wymogów dotyczących doktoryzowania i habilitowania. Zdaniem prorektora, zostaną one spełnione w ciągu dwóch lat.

● 23 marca w Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury odbyło się spotkanie autorskie z Wiktorem Szwedem, z okazji 70-lecia jego urodzin. Wiersze jubilata recytowali aktorzy Teatru im. Janki Kupały z Mińska i lektorzy Radia Białystok. O twórczości poety mówili: prezes białostockiego oddziału Związku Literatów Polskich Jan Leończuk, Aleksy Pietkiewicz (Grodno) i Mikołaj Hajduk. W spotkaniu, które prowadził Sokrat Janowicz, uczestniczyło ponad 50 osób — przedstawiciele władz miejskich, wojewódzkich, organizacji białoruskich, uczniowie języka białoruskiego w IV LO i przyjaciele poety.

● W ramach III Międzynarodowego Tygodnia Teatru, 24 marca w Teatrze im. Aleksandra Węgierki Teatr im. Janki Kupały z Mińska wystawił "Idyllę" Stanisława Moniuszki w języku białoruskim.

● Z budżetu miasta Rada Miejska wydzieliła 20 tys. zł na wspieranie organizacji mniejszości narodowych. Rada zatwierdziła też wzór nowego herbu Białegostoku. Zasadniczą zmianą będzie kolor Pogoni — była czarna, będzie biała.

● Oddział Związku Literatów Polskich wybrał nowe władze. Prezesem został Jan Leończuk, skarbnikiem — Jan Czykwin, przewodniczący Stowarzyszenia Literackiego "Białowieża".

● Podczas pobytu w Białymstoku przedstawiciele Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji poinformowali, że powstanie tu 12. i zarazem ostatni w kraju ośrodek telewizji publicznej. Koszt przedsięwzięcia szacuje się na 150 mld starych złotych. Zdaniem posła Unii Pracy, Artura Smółko, pier-

Komentuje Jerzy OSIENNIK



wsze audycje w paśmie programu drugiego TVP z Białegostoku będą emitowane już pod koniec br. Według deklaracji przewodniczącego KRRiT, Andrzeja Zaorskiego, białostocki ośrodek zagwarantuje dostęp do telewizji mniejszości białoruskiej. Prezes TVP Wiesław Walendziak polecił Januszowi Daszczyńskiemu, odpowiedzialnemu za sprawy oddziałów regionalnych, doprowadzić do spotkania ze środowiskiem białoruskim.

• 53 białostockie firmy są założycielami Wschodniego Towarzystwa Gospodarczego. Organizacja, o statusie prawnym izby, chce usprawnić promocję polskich firm i ich ofert na rynku wschodnim, pomóc w nawiązaniu kontaktów z tamtejszymi przedsiębiorstwami i wspólnej dystrybucji towarów. Wśród założycieli są m.in.: Białostocka Giełda Wschodnia, Agroma, Aromex, Polmos, Pol-Pled, Pronar, Biatra, Centrum Targów i Promocji Rynku Wschodniego.

Bielsk Podlaski

• 22 marca w Liceum Ogólnokształcącym z bjn im. Br. Taraszkiewicza odbył się konkurs recytatorski białoruskiej poezji i prozy dla uczniów szkół średnich. W konkursie, zorganizowanym przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, wzięło udział ponad dwudziestu wykonawców — uczniów "białoruskich" ogólniaków z Bielska Podlaskiego i Hajnówki. Dwa pierwsze miejsca przypadły: Emilii Ostapczuk z Bielska (recytowała *Smykam pa sercy* Jurki Hienijusza oraz *Na adkryćcio miemaryjalnaj doszki pamiaci Jarasława Kastycewicza* Wiktora Szweda) i Krystynie Sacharczuk z Hajnówki (autorski monolog *Maje szkolnaje życćio*). Jury przyznało też trzy drugie i trzy trzecie miejsca oraz cztery wyróżnienia. Laureaci otrzymali nagrody książkowe i upominki ufundowane przez BTSK. Mikołaj Hajduk (członek jury) wszystkim wykonawcom wręczył swoje książki — *Paratunak* i *Chram i wiersz*. Jury oceniło poziom wykonawców bardzo wysoko, co jest zasługą także nauczycieli, którzy starannie przygotowali uczniów do recytacji. Mankamentem konkursu był udział w nim tylko jednego chłopca — Marka Posta (wyróżnienie).

• Radni Rady Miejskiej uchwalili budżet miasta na br. Dochody wyniosą 7 mln 376 tys 938 nowych złotych, a wydatki 7 mln 956 tys. 906 złotych. Radni przyznali m.in. 1500 zł Białoruskiemu Towarzystwu Historycznemu na bieżącą działalność.

• Po zawieszeniu działalności "Rolbanku" zablokowany został rachunek Fundacji Pomocy Marylce z ponad 400 milionami starych złotych. Aby umożliwić Marii Bazyluk-Sośniuk niezwłoczne rozpoczęcie leczenia, władze miasta poczyniły starania o jak najszybsze odblokowanie rachunku.

Gródek

• W połowie marca ukazał się pierwszy numer "Wiadomości Gródeckich". Pismo informuje o bieżących wydarzeniach w gminie, porusza problemy lokalne jak np. zagrożenie upadłością zakładów "Karo" i ochrona środowiska naturalnego. Dużo miejsca gazeta poświęca kulturze i historii Ziemi Gródeckiej. W odróżnieniu od reszty gazet gminnych w województwie, "WG" część tekstów publikują w języku białoruskim (alfabetem łacińskim).

• 26 marca Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Gródeckiej zorganizowało spotkanie z Sokratem Janowiczem na temat "Konstanty Kalinowski — prawda i legenda".

Hajnówka

• 18 marca Białoruskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało w budynku Muzeum Białoruskiego konferencję naukową: "Białorusini w Polsce po II wojnie światowej". Kilkudziesięciu uczestników wysłuchało referatów: Daniela Boćkowskiego "Deklaracja lojalności obywateli polskich narodowości białoruskiej dla gen. Władysława Sikorskiego", Sławomira Iwaniuka "Białoruska wojskowa samoobrona w latach 1944-1947", Henryka Majeckiego "Polityczna aktywność Białorusinów Białostocczyzny po II wojnie światowej", Ireny Matus "Repatriacja Białorusinów do BSRR we wspomnieniach mieszkańców Białostocczyzny", Eugeniusza Mironowicza, "Sytuacja społeczności białoruskiej w Polsce w latach 1949-1956", Heleny Głogowskiej "Białoruska ludność na Pomorzu po II wojnie światowej", Elżbiety Czykwin "Stosunek Polaków do Białorusinów i innych mniejszości narodowych w Polsce", Pawła Kazaneckiego "Białoruska działalność opozycyjna w latach 80." oraz Wiesława Chorużego "Białoruskie wydawnictwa konspiracyjne w latach 1981-1990". Większość materiałów z konferencji zostanie opublikowana w Białoruskich Zeszytach Historycznych, które ukażą się w czerwcu br.

Hołody

• W nocy z 5 na 6 marca w czasie wiejskiej "zabawy" 10-osobowa grupa młodych ludzi zaatakowała trzech policjantów legitymujących kierowcę. Policjanci doznali obrażeń twarzy, głowy i rąk. Jednego z napastników zatrzymano.

Krzywa

• 120 mieszkańców wsi wzięło udział w referendum, które zadecydowało o przeniesieniu z gminy Orla do gminy Bielsk Podlaski. Za głosowało 114 osób. Mieszkańcy mają nadzieję, że po przeniesieniu do bielskiej gminy w Krzywej zostanie ponownie otwarta szkoła oraz wybudowany nowy wodociąg.

Narew

• Spółka "Pronar" z Narwi zdobyła tytuł krajowego mistrza AGRO-LIGI '94 w kategorii firm rolniczych. Przedsiębiorstwo zajmuje się montażem ciągników z części sprowadzanych z Białorusi oraz przetwórstwem spożywczym.

Narewka

• Jak informuje "Gazeta Samorządowa Nad Narewką", w bieżącym roku planowana jest budowa elektrowni wodnej na Zalewie Siemianówka. Trzy turbogeneratory o łącznej mocy 375 kW mają wytwarzać energię, którą wykorzysta się m.in. do zasilania silników elektrycznych w pięciu czynnych przepompowniach w Babiej Górze, Siemianówce, Cisówce, Bondarach i Budach. Koszt inwestycji, która powinna się zamortyzować w ciągu siedmiu lat, wyniesie 7 mld starych złotych.

Gdańsk

• 20 marca w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk odbyło się uroczyste otwarcie wystawy "Wydawnictwa mniejszości narodowych w Polsce 1945-1995". Jednym z organizatorów wystawy było Białoruskie Towarzystwo Kulturalne "Chatka".

Warszawa

• 4 marca w Warszawie odbyło się sprawozdawczo-wyborcze zebranie Polskiego Towarzystwa Białorutenistycznego. Gościem forum był przewodniczący Międzynarodowej Asocjacji Białorutenistycznej prof. Adam Maldzis. Uczestnicy spotkania, oprócz dyskusji na temat działalności organizacji, poparli kandydaturę Wasila Bykowa do literackiej Nagrody Nobla oraz wybrali nowe władze. Przewodniczącym Towarzystwa ponownie został prof. Aleksander Barszczewski.

• 13 marca w Pałacu Kazimierzowskim na terenie Uniwersytetu Warszawskiego została otwarta wystawa fotograficzna pt. "Po prostu — w białoruskich wioskach 1993-94". Wystawa jest rezultatem dwuletnich badań prowadzonych na Grodzieńszczyźnie przez studentów Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego.

Suwałki

• O planowanym przejściu granicznym w Lipszanach oraz o ożywieniu współpracy gospodarczej między Suwalszczyzną i Grodzieńszczyzną rozmawiał 9 marca br. konsul generalny RB, Igor Chodasiewicz. Dyplomata spotkał się z wojewodą suwalskim oraz komendantem wojewódzkim policji i prokuratorem wojewódzkim.

***

• Obecnie ok. 200 obywateli białoruskich przebywa w zakładach karnych w Polsce. Większość z nich to złodzieje i rekietierzy.

REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Mińsk

• Białoruski Front Narodowy "Odrodzenie" rozpoczął zbiórkę podpisów pod żądaniem, skierowanym do Rady Najwyższej, rządu i prezydenta, wypowiedzenia przez Białoruś umowy o kolektywnym bezpieczeństwie z krajami Wspólnoty Niepodległych Państw, wstrzymania budowy rosyjskich baz wojskowych na terytorium Białorusi oraz całkowitego wyprowadzenia rosyjskich wojsk.

• Po wizycie prezydenta Borysa Jelcyna w Mińsku minister obrony Rosji Paweł Graczow oświadczył, że strategiczne samoloty dalekiego zasięgu powrócą do swojej bazy pod Baranowiczami na Białorusi. Mieszkańcy tego miasteczka wystosowali do Aleksandra Łukaszenki protest przeciwko lokalizacji bazy i stacji radiolokacyjnej w ich sąsiedztwie.

• Deputowany z obwodu brzeskiego, członek organizacji weteranów z II wojny światowej, Wasili Martozau, na sesji Rady Najwyższej został pozbawiony głosu w momencie, gdy uzasadniał twierdzenie, jakoby obecna symbolika państwowa Białorusi "obrażała naród białoruski".

• Większość członków Rady Najwyższej wypowiedziała się przeciwko wprowadzeniu orderu im. Konstantego Kalinowskiego i Medalu Odrodzenia jako państwowych odznaczeń.

• Prezydent Aleksander Łukaszenka zapowiedział, że jeśli Rada Najwyższa nie uchwali zmiany godła narodowego i nie wprowadzi języka rosyjskiego jako drugiego języka urzędowego, to zostanie rozwiązana. "Nie wolno nikogo zmuszać do mówienia językiem nieznanym i nie chcianym" — powiedział A. Łukaszenka o języku białoruskim.

• 25 marca Białoruski Front Narodowy "Odrodzenie" zorganizował obchody 77 rocznicy proklamowania Białoruskiej Republiki Ludowej.

Brześć

• Partia rosyjskich nacjonalistów, której przewodniczy Władimir Żyrinowski, przeprowadziła rekrutację nowych członków. Na trzech nowo przyjętych wydawano butelkę wódki.

***

• W 1994 r., w porównaniu z rokiem 1993, spożycie mięsa i jego przetworów na osobę spadło z 75 do 65 kg, mleka i jego przetworów z 126 do 120 kg, cukru z 49 do 24 kg.
W ub.r. inflacja w Białorusi wyniosła 2 100 proc.

Z ŻYCIA CERKWI

Białystok

• Nakładem Bractwa Prawosławnego św. św. Cyryla i Metodego wyszła z druku książka Mikołaja Hajduka "Unia brzeska 1596" (s. 125, il.). Publikacja przedstawia genezę i konsekwencje unii brzeskiej. Przy okazji czterechsetnej rocznicy soboru brzeskiego jest kolejnym, istotnym głosem w dyskusji na temat roli unii kościelnej w dziejach dwóch wschodnich narodów: Białorusinów i Ukraińców.

• Koło Bractwa Prawosławnego przy parafii katedralnej św. Mikołaja rozpoczęło działalność na rzecz osób i rodzin pozostających w trudnej sytuacji materialnej. Członkowie Koła poszukują również firm i osób prywatnych, zainteresowanych działalnością charytatywną. Spotkania członków i sympatyków Bractwa odbywają się w każdą pierwszą środę miesiąca, bezpośrednio po zakończeniu *akafista*, w dużej sali parafialnej przy ul. Lipowej 15. W każdy ostatni piątek miesiąca o godz. 17 w dolnej cerkwi świątyni katedralnej przy ul. Lipowej 15 odbywają się spotkania modlitewne członków Bractwa ze wszystkich parafii.

Włochy

• W ostatnich dniach lutego J.E. abp Sawa, prawosławny ordynariusz Wojska Polskiego, wraz z grupą duchownych, kapelanów i oficerów WP odwiedził cmentarz pod Monte Cassino, gdzie odprawił nabożeństwo żałobne w intencji wszystkich poległych i spoczywających tam żołnierzy. Delegacja z Polski gościła również na Sardynii, gdzie abp Sawa wyświęcił prawosławną cerkiew pw. św. Barbary w Alghero, znajdującą się w jurysdykcji Cerkwi prawosławnej w Polsce.

Mińsk

• Metropolita Miński i Słucki Filaret ukończył 60 lat. W uroczystościach jubileuszowych uczestniczył między innymi archimandryta Miron z supraskiego monasteru.

Białoruskie wybory

Od czterech lat niezależna Białoruś stoi przed, wydaje się, ostatnią szansą wyboru dalszej drogi rozwoju systemu państwowego. Wśród komentatorów życia politycznego w Europie Wschodniej panuje przekonanie, że wybory parlamentarne, rozpisane na 14 maja br., ostatecznie zadecydują o dalszych losach tego 10-milionowego narodu i jego niezależnego bytu państwowego. Taki wybór, teoretycznie przynajmniej, jeszcze istnieje, aczkolwiek w zasadzie ogranicza się do zdefiniowania stopnia zależności politycznej, gospodarczej i militarnej od Rosji. Co do szans osiągnięcia całkowitej niezależności i wejścia do cywilnych i wojskowych struktur europejskich, nikt już chyba nie ma złudzeń, że Białoruś — najdalej na zachód wysunięta flanka imperium, na terenie której stacjonują ogromne ilości wojsk, wreszcie — naturalne terytorium tranzytu na kierunku wschód-zachód, nie ma szans na całkowite zerwanie z protekcjonizmem wschodniego sąsiada. Z drugiej jednak strony tak zdefiniowane położenie geopolityczne pozwala jednak na zachowanie minimum atrybutów niezawisłości, gdyż w obliczu ostatnich wydarzeń na białoruskiej scenie politycznej nawet ta ostatnia jest już realnie zagrożona.

Układ sił politycznych w Białorusi wydaje się już być czytelny. Obecna ekipa rządząca krajem, z prezydentem Aleksandrem Łukaszenką na czele, opowiada się za jak najściślejszą współpracą ze wschodnim sąsiadem we wszystkich dziedzinach. Kwintesencją tak prowadzonej polityki jest układ o dobrym sąsiedztwie i przyjaźni, podpisany 21 lutego br., który opozycja określa jako zagrażający żywotnym interesom Białorusi i jej niezależności. Jeszcze bardziej radykalni są komuniści, którzy otwarcie manifestują chęć restytucji związku bratnich republik. Zwolennicy Łukaszenki i komunistyczny beton z jednakową wrogością wypowiadają się o białoruskiej kulturze, języku czy symbolach narodowych. Doszło nawet do tego, że prezydent niepodległej Białorusi publicznie stwierdza, że należy na drodze ogólnonarodowego referendum przywrócić symbolikę Białorusi radzieckiej.

Po drugiej stronie znajdują się partie opozycyjne, opowiadające się za suwerennością, reformami rynkowymi i przyłączeniem kraju do struktur i układów europejskich. Białoruski Front Narodowy "Odrodzenie", Białoruska Socjalno-Demokratyczna Hromada, Białoruska Partia Chłopska, Białoruska Chrześcijańsko-Demokratyczna Partia i Narodowo-Demokratyczna Partia Białorusi podpisały przedwyborczą umowę koalicyjną, zobowiązującą sygnatariuszy do wystawienia wspólnych list kandydatów w wyborach i współpracy w nowym parlamencie przez okres pięciu lat.

Publikowany niżej tekst rozmowy z byłym przewodniczącym Rady Najwyższej Republiki Białoruś, Stanisławem Szuszkiewiczem, przybliża główne problemy, jakimi żyje obecnie Białoruś. Szuszkiewicz jest teraz członkiem opozycyjnej Hromady, w związku z czym część jego poglądów może być przejaskrawiona. Dla ścisłości należy dodać, iż nasza redakcja nie zgadza się ze wszystkimi poglądami Stanisława Szuszkiewicza.

(jk)

W czerwcowych wyborach prezydenckich uzyskał Pan nieco ponad dziewięć procent głosów. Jaki był Pański program?

— Był to prosty program: normalna reforma rynkowa. Moje hasło wyborcze brzmiało: państwo, demokracja, rynek. Program był szczegółowo opracowany. Prezydent Łukaszenka, który wybory wygrał, zaproponował wielu moim współpracownikom miejsce w nowym gabinecie, ale na ciężkich warunkach, muszą pracować pod kierownictwem starych konserwatystów i trudno im sprawnie działać.

Państwo, demokracja, rynek — czy to hasła popularne, szczególnie wśród mas?

— Okazało się, że Mińsk i rejony w okolicach stolicy głosowały właśnie na mnie, w niektórych znalazłem się na pierwszym miejscu, dlatego że w Mińsku i okolicach mamy największe skupiska inteligencji. Tam zaś, gdzie przeważali ludzie zubożali i wyrzuceni niejako na margines, głosowano za hasłami, które nie mają żadnego pokrycia.

Za czym więc głosowali Białorusini? Co im zaproponował Łukaszenka?

— Głosowali za lepszym życiem, przekonani, że prosty człowiek, taki od pługa, może im to ofiarować.

Czym jest lepsze życie dla przeciętnego Białorusina? Takie jak za komunizmu? Takie, jakie może być wynikiem ścisłej integracji z bogatą — z perspektywy Mińska — Rosją?

— W trudnych czasach nie pamięta się tego co złe, a co już minęło, pamięta się natomiast jaśniejsze strony życia. Ludzie łatwo zapominają o nocnych kolejkach po mięso, o kolejkach po wszystko. Widzimy nostalgię za przeszłością, podsycaną szczególnie przez komunistów i weteranów. Maksymalizm jest chyba cechą naszej krwi. Natomiast w Polsce, a jeszcze częściej w Niemczech, powiada się, że trzeba stąpać powoli, krok za krokiem doskonalić warunki życia. Na Białorusi mało kto rozumie mądrość cierpliwej strategii. I w tym dostrzegam naszą wadę, nieszczęście i tragedię.

Nie ma więc nadziei, że Białoruś powoli wyjdzie z zapaści ekonomicznej i politycznej?

— Z jednej strony powinienem się cieszyć, bo jeśli przyjrzymy się programowi wyjścia z kryzysu, który zatwierdziła Rada Najwyższa, to jego pierwsza część jest powtórzeniem mojego programu, a już druga jest całkowitą niedorzecznością: postanowiono zmniejszyć inflację, osiągnąć stabilizację finansową, uzdrowić przemysł — ale metodami czysto administracyjnymi. Nazywam nowy rząd ekipą systemu administracyjnego. Tę niedorzeczność wyjaśniło wielu deputowanych do Rady Najwyższej: program jest zły, ale trzeba było za nim głosować, albowiem ekipa prezydencka oczekiwała, że deputowani go odrzucą i nowy rząd obarczy odpowiedzialnością za niepowodzenia gospodarcze właśnie Radę Najwyższą. Rada Najwyższa postąpiła dostatecznie mądrze, wykazała instynkt samozachowawczy — proszę bardzo, zatwierdzamy wasz program, a wy go realizujcie...

Prezydent Aleksander Łukaszenka wprowadza wiele rozwiązań, np. ogłosiwszy, że w listopadzie inflacja

zmniejszy się do dziewięciu procent miesięcznie, podjął decyzję o dwukrotnej podwyżce miesięcznej pensji minimalnej, która dotyczyła przede wszystkim urzędników. Zwykły rachunek dowodzi, że inflacja natychmiast podniosła się do co najmniej osiemnastu procent, a w ciągu miesiąca podwyższy się o te dwa razy, o które podniesiono minimalną pensję. Nie rozpoczęto nawet wprowadzenia w życie rozsądnego programu ekonomicznego. Białoruś znajduje się w niezwykle trudnej sytuacji. Czy dostrzegam nadzieję? Widzę ją wyłącznie w wyborach parlamentarnych. Jeżeli to będą normalne wybory, jeśli demokraci różnych orientacji stworzą wspólny front — niekoniecznie rozumiem przez to zjednoczenie i wspólne hasła, ale raczej to, że nie będziemy ze sobą walczyć — to mam nadzieję, że na Białorusi zmieni się coś na lepsze.

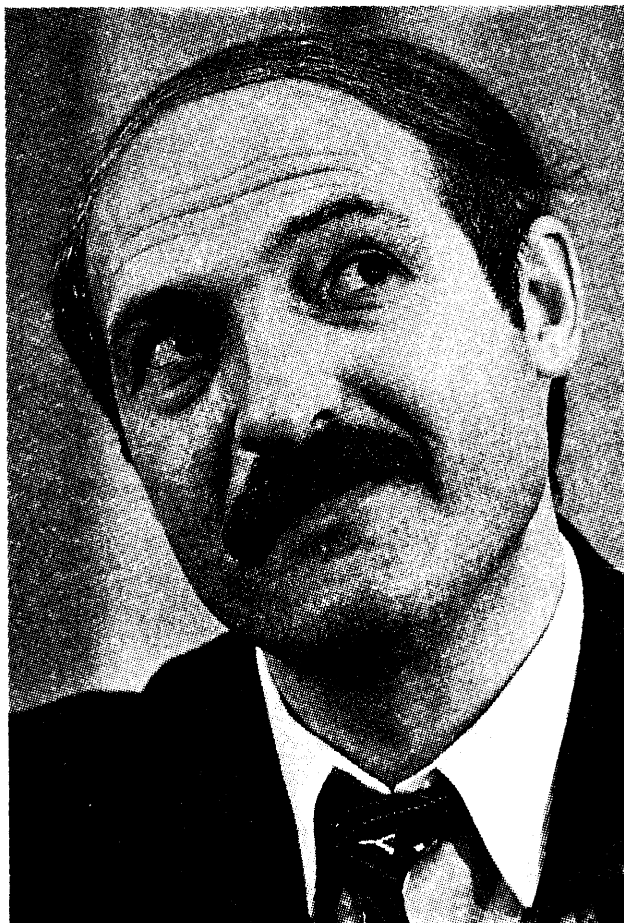
Czy istnieje szansa na współpracę demokratów?

— Owszem, szansa jest. W czasie kampanii prezydenckiej połączyli się wszyscy demokraci — oprócz Białoruskiego Frontu Narodowego. BFN był przekonany, że posiada nadzwyczajne wpływy. Przekonaliśmy się jednak, że wpływ był słabszy niż przypuszczano. BFN oświadczył niedawno, iż jest gotów przystąpić do obozu demokratycznego, ale sądzę, że owa gotowość jest obliczona na efekt propagandowy. Więcej uwagi przykładam do idei stworzenia prawdziwego centrum, uważam, że trzeba poszukiwać polityków o mniej radykalnych poglądach niż Zianon Paźniak i jego BFN. Bez stworzenia struktur politycznych, partii, które będą zajmować miejsce w centrum — korekta polityki będzie niezwykle trudna...

Po ogłoszeniu wyników wyborów Łukaszenka powiedział, że co innego hasła wyborcze, a co innego praktyka i obwieścił, że nie spełni swych wszystkich obietnic. Zarazem poprosił społeczeństwo o sześć, osiem miesięcy zaufania. Czy nowy prezydent cieszy się jeszcze zaufaniem?

— Rzecz w tym, że gra jest mniej skomplikowana. Łukaszenka zapomina o jednych obietnicach i składa zupełnie nowe, np. obiecywał znieść cenzurę. Twierdzi, że jest przeciwny jakiejkolwiek kontroli, cenzurowaniu, ale w praktyce nie pozwala, aby gazety pisały to, co mu się nie podoba. *De iure* cenzura nie istnieje, ale ponieważ wszystko — gazety, telewizja, media — jest państwowe, trudno mówić o wolności i niezależności mediów, poza tym dziennikarze i redaktorzy naczelni uważają na to co piszą...

Na Białorusi mamy do czynienia z niezwykle prymitywnym populizmem. Łukaszenka zapada na zdrowiu, dziesięć dni leczy się w Rosji, po powrocie powiada: kiedy mnie nie było podli ludzie narobili bałaganu, zwiększyli ceny, ale ja z niedzieli na poniedziałek przywrócę stare ceny. W poniedziałek coś niecoś się zmienia, dajmy na to cena chleba i mleka, a reszta podwyższonych cen obowiązuje. Ludzie powiadają: przyjechał sprawiedliwy prezydent i zrobił porządek. Twierdzę stanowczo, że jest to gra polityczna, całkowicie pozbawiona odpowiedzialności i sumienia, doprowadzi ona Białoruś do jeszcze większej katastrofy ekonomicznej.



Prezydent Aleksander Łukaszenka zapomina o jednych obietnicach i składa zupełnie nowe. Prowadzi grę polityczną.

Sprawa najważniejsza: jak Pan ocenia szanse na ocalenie białoruskiej niepodległości i suwerenności?

— Szanse są mniejsze niż wcześniej. Kiedy nastąpi wielki kryzys, tak wielki, że na nic nie zdadzą się próby jego ukrycia, kiedy rząd Łukaszenki straci ostatnią szansę, by znaleźć normalną ekonomiczną drogę do stabilizacji i polepszenia doli ludzi, to zdecyduje się na powrót do Rosji — na warunkach dyktowanych przez Moskwę. Jest wielu polityków o orientacji prorosyjskiej, gotowych oddać Rosji Białoruś na dowolnych warunkach. To już się faktycznie dzieje. Groźba utraty niepodległości jest faktem.

Niektórzy Białorusini twierdzą, że Mińsk jest nieuchronnie skazany na Moskwę, ale są i tacy, którzy mówią, że Białoruś powinna dążyć do integracji ze strukturami europejskimi lub współdziałać z Grupą Wyszehradzką...

— Jeśli chodzi o Grupę Wyszehradzką — należy o tym myśleć, ale nie wolno zapomnieć, iż w stu procentach uzależnieni jesteśmy od dostaw rosyjskiej energii. Nie istnieją dziś inne źródła dostaw energetycznych. Rozważano, czy nie korzystać z portu gdyńskiego albo kłajpedzkiego, ale ekonomiczny rachunek dowodzi, że ekologiczne skażenie Morza Bałtyckiego wpływa na podwyższenie cen za korzystanie z bałtyckich portów. Potrzebne są inwestycje, by korzystać z Bałtyku. Rząd Wiaczesława Kiebicza nie zdecydował się na to, zabrakło mu też czasu. Aktualny rząd także nie wybrał tego wariantu, zresztą absurdem byłoby, abyśmy sprowadzali ropę z Emiratów Arabskich przez bałtyckie porty, a z kolei przez nasze terytorium przepływać by miała do Polski rosyjska ropa.

Białoruś znajduje się w dziurze finansowej, jest bardzo zadłużona, a polityka rządu prowadzi do zwiększenia owego zadłużenia. Wskażę przykład: Białorusin płaci jedną dziesiątą ceny energii elektrycznej, reszta jest dotowana przez państwo, nie istnieje u nas prawdziwy rynek. Podobnie we wszystkich usługach komunalnych. Chleb np. jest tańszy niż koszty jego produkcji. Rząd nie dąży do preorientacji dotacji, ale po staremu stara się równo je podzielić. Niestety, wielu ludzi z aparatu władzy wykorzystuje to dla swych interesów. I ten stary mechanizm działa.

Nadal jesteśmy mocno i sztywno związani z Rosją, ale już rozważano, jak uniezależnić się ekonomicznie od Moskwy, np. począwszy od 1996 r. spłacać długi. Nikt nam nie podaruje ani jednego rubla, zostaliśmy np. zmuszeni do przekazania Rosji znajdujących się w bankach pieniędzy pozostałych po ZSRR. Rosja wycofała nasz spadek po ZSRR, zostawiając nam biedy, które teraz musimy likwidować sami. A przecież myśmy nie

prosili o Czarnobyl, a na likwidację skutków katastrofy przeznaczamy tyle, ile łożymy razem na szkolnictwo, kulturę i obronę! Prawo międzynarodowe stwarza kruczki, dzięki którym moglibyśmy żądać od Rosji rekompensat za Czarnobyl, bo to Rosja podarowała nam Czarnobyl. Białoruś jest krajem najbardziej dotkniętym katastrofą, dwadzieścia dwa procent terytorium nie nadaje się do rolnictwa.

Nowa ekipa więcej uwagi poświęca "duraczeniu" ludzi niż faktycznym zmianom. Jeśli ludzie sprawujący władzę pragną przemian — to przede wszystkim poprawy swej sytuacji, a dopiero później społeczeństwa. I dlatego nie mamy żadnego systemu, planów ekonomicznych. W sferze oświaty, ochrony zdrowia, można dyskutować, ale o ekonomii się nie dyskutuje, albo będzie solidna baza ekonomiczna, zbudowana na zasadach, które się sprawdziły w świecie, albo nie będzie niczego. Udajemy zwolenników rynku, ale w Międzynarodowym Funduszu Walutowym nie siedzą dyletanci, którzy nie orientują się w tym, co się dzieje w Białorusi.

Każdy z krajów postkomunistycznych zdąża do rynku nieco inną drogą. Czy Białorusini nie chcieli wybrać drogi Balcerowicza?

— Szanuję Leszka Balcerowicza i jestem pełen uznania dla jego planu, ale co było dobre dla Polski, formułowane z uwzględnieniem waszych realiów, nie musiało być koniecznie dobre dla Białorusi. Istnieją podstawowe zasady transformacji rynkowej, którym Balcerowicz był wierny. Poza tym starczyło mu męstwa, by powiedzieć: dość, koniec z udawaniem, że nie istnieje bezrobocie. Na Białorusi bezrobocie osiągnęło niewiarygodne rozmiary, ale stwarza się pozory, że ono nie istnieje, wszyscy mają i muszą mieć pracę. Zasadniczą różnicę między Polską a Białorusią dostrzegam w tym, iż u nas nawet nie uruchomiono mechanizmów rynkowych, nie tworzymy klasy średniej, a tylko wówczas nastąpić może transformacja ekonomiczna. Na Białorusi dużo o transformacji dyskutujemy, ale jeszcze nam do niej bardzo daleko.

Rozmawiał Jan STRZAŁKA

Fot. Archiwum

"Tygodnik Powszechny", 12 marca 1995 r.

Tytuł pochodzi od redakcji.

Газета без палітыкі

У траўні 1991 года ў Вільні стала выходзіць беларуская газета «Наша Ніва», ці, як некаторыя кажуць, яшчэ, аднавіла свой выхад, прыпынены Першай сусветнай вайной. Улічыўшы ролю, якую выконвала колішняя «Наша Ніва» (1907-1914) у беларускім руху, цяперашняя ініцыятыва выдаваць газету з тым самым назовам і ў тым самым горадзе можа, з аднаго боку, падацца памкненнем узяць на сябе «гістарычную місію» ў дачыненні да беларускага постсавецкага грамадства, а з другога — яшчэ адной намогай разграбці папялішча мінулага, каб у ягоным прысаку пагрэць «беларускае адраджэнне. Ні адно, ні другое не явіцца (на шчасце!) як выразная рэдакцыйная ўстаноўка, калі пачытаць матэрыялы, што былі апублікаваны дагэтуль у нумарах газеты (рэгулярнага месячніка). Пераемнасць досведу старога «нашаніўства» ў цяперашніх віленскіх рэдактараў назіраецца хутчэй у сферы мэтадалогіі, чымсьці ідэалогіі. Іначай кажучы, акцэнт у іх змешчаны з задання на выкананне, з аб'екта на суб'ект. У «Нашай Ніве», як у ніводным іншым беларускім выданні, важнай стала асоба аўтара. У гэтым кантэксце «гістарычнай місіяй» рэдакцыі можна назваць нармальнае ў іншых культурах і абставінах памкненне аддаваць перавагу не абстрактным формулам культуры, а ейным носьбітам. Што тычыцца падыходу віленскіх рэдактараў да «беларускага адраджэння», ён — у адрозненне ад магістральнай плыні ў Беларусі — прынцыпова «перавернуты дагары нагамі». Перыфразуючы словы Джойсавага Стывена Дэдала аб ягоных дачыненнях з Ірландыяй, можна пра гэты падыход сказаць: мяне цікавіць не тое, што я магу зрабіць для Беларусі, а тое, што Беларусь можа зрабіць для мяне. Рэч у тым, наколькі беларуская культурная прастора — няважна, рэальная ці патэнцыяльная — дае мне, суб'екту гэтае прасторы, магчымасць і свабоду рэалізавацца як асобе. Гэтыя дзве прыкметы робяць сённяшнюю «Нашу Ніву» выданнем на беларускім рынку унікальным, якое адных збівае з панталыку сваёй «элітарнасцю», а сярод іншых знаходзіць верных чытачоў, дапісчыкаў ці проста сімпатызантаў.

Чытачам «Часопіса» прапаную ўрыўкі з гутаркі з галоўным рэдактарам віленскай газеты Сяргеем ДУБАВЦОМ. У гутарцы прынялі ўдзел Сяргей ШУПА (літаратурны рэдактар) і Сяргей ХАРЭЎСКІ (мастацкі рэдактар).

Ці лічыш, што «Наша Ніва» цяпер — гэта працяг тае віленскае газеты з часу перад Першай сусветнай вайной?

— Натуральна, калі ўлічыць усе тыя змены, што адбыліся з нацыяй, і ў свеце, за гэты час. І ўсе тыя змены межаў з Вільняй...

А якія істотныя змены адбыліся з беларусамі паміж 1913 і 1993, за 80 гадоў?

— Народ у сваім развіцці быў адкінуты ўзад, ці, лепш сказаць, зведзены кудысьці ўбок. Я маю на ўвазе нацыянальную свядомасць. Народ вельмі шмат страціў ад свае аўтэнтычнае прыроды, якая так шчодра выявілася ў колішняй «Нашай Ніве».

Ці цяперашняя газета ўлічвае гэты фактар, менавіта, што сённяшняя беларускасць ідзе як бы больш ад галавы, чымсьці ад душы?

— Я б не сказаў, што гэтая газета нешта ўлічвае. Яна ёсць прадукт гэтага чалавека, такога, якім ён стаў.

Гэта занадта агульна. Можна сказаць, што газета «Звязда» — таксама прадукт чалавека такога, якім ён стаў. Я б сказаў, што «Звязда» ёсць больш аўтэнтычны прадукт сённяшняга беларуса, чымсьці ваша газета. Штосьці тут не так...

— «Звязда» — гэта яшчэ і прадукт факультэта журналістыкі. Яна звязана з усімі ідэалагічнымі

ўстановамі, аддзеламі ЦК і гэтак далей...

Мне здаецца, што гэта не так істотна, бо для «Звязды» гэты ідэалагічны момант цяпер адпаў сам сабой...

— Я лічу, што гэта абсалютна істотна. «Звязда», можа быць, ідзе ў тым кірунку, што і мы, але тут нельга параўноўваць. Гэта розныя жанры. «Звязда» — штодзённая газета, а мы — хутчэй часопіс. «Звязда» якраз ідзе ад савецкага ідэалагічнага выхавання. Журналізм там пастаўлены так, як за савецкім часам. Яна робіцца файнай, народнай газетай, але яна ідзе ад гэтага. Мы, узяўшы сабе за шыльду гэтыя два словы — наша ніва — пастанавілі праігнараваць савецкі досьвед і паспрабаваць кінуць масток якраз туды, у беларускую культуру, якая не была «загаженная» савецкім часам. Узяць беларускую ідэю ў яе чыстым выглядзе, так як яна выспела ў нашаніўскі перыяд. Цікавасць колішняй «Нашай Нівы» якраз у тым, што яна давала беларускую ідэю ў чыстым выглядзе.

А што для цябе беларуская ідэя ў чыстым выглядзе? Гэта, прыкладам, газета пазбаўленая палітычных момантаў, палітычнага афарбавання?

— Абсалютна так.

«Звязда» выконвае палітычную функцыю?

— «Звязда» — гэта газета ўраду, камуністычнага па сутнасці.

— [ШУПА] Змена колераў не абазначае змены ідэалогіі.

Што для вас значыць слова «наша» ў назве газеты? Ці гэта газета «вашай тусоўкі», значыць, невялікай рэдакцыі і невялікага кола аўтараў, што падтрымоўваюць гэту ініцыятыву? Каму адрасуеце сваю газету?

— Нас чытаюць тыя, каго не пакрываюць сённяшнія беларускамоўныя выданні. Гэта ў асноўным інтэлігенцыя... Інтэлігенцыя з прэтэнзіяй на нейкую элітарнасць — уся на Беларусі расейскамоўная...

Ці думаеш, што якраз гэтая расейскамоўная інтэлігенцыя чытае беларускую «Нашу Ніву»?

— [ШУПА] Наогул не, хоць некаторыя пачынаюць чытаць і хваліць газету. Але гэта адзіная беларуская газета, якую яны патэнцыяльна маглі б чытаць. Яны, усё ж, эліта беларускай нацыі, эліта расейскамоўная. Ідэальна было б, каб праз «Нашу Ніву» ўдалося нейкую беларускую ін'екцыю ім зрабіць. Бо дагэтуль, звычайна, беларускасць для іх звязвалася з вёскай, зямлёй, птушкай... А тут наадварот...

Ці не адчуваеце сябе, тут у Вільні, ізаляванымі ад тых праблем, якімі жыве Беларусь? Змест газеты як бы на тое паказваў — займаецеся культурай, ці, дакладней, культуралогіяй, літаратурай, перакладамі, а вось сучасны палітычна-сацыяльны кантэкст Беларусі ў вас адсутнічае, або трактуецца даволі маргінальна...

— Можна ставіць гэта пытанне па-іншаму. На маю думку, Беларусь страшна ізаляваная ад свету — ад Літвы, ад Польшчы, ад тых якраз праблем, якія мы даем у выглядзе перакладаў і г.д. Мы імкнемся гэтую ізаляванасць якраз разарваць.

Беларускую палітычную сітуацыю твораць не суб'екты. Яе твораць такія абставіны як членства ў СНД, колішнія савецкія стэрэатыпы... Уласна беларускіх палітыкаў, якія мысляць беларускімі палітычнымі катэгорыямі, усяго два-тры.

— [ШУПА] Нам больш карысці з таго, што мы не труцімся менскім духам. Там проста не было б і сілы думаць пра тое, што мы робім тут. Мы проста жылі б тым, ад чаго, як ты кажаш, мы нібыта ізаляваныя, і памяралі б паволі...

— У прынцыпе, сёння тыя друкі, якія сур'ёзна звязаныя з палітыкай — большая містыфікацыя, чым «Наша Ніва». Таму што няма яшчэ гэтай дзяржавы, няма палітыкі, няма ніякіх канцэпцый... Увесь гэты суверэнітэт, які з неба ўпаў — усё гэта містыфікацыя.

Тут ёсць адзін вельмі істотны момант. Чаму на працягу XX стагоддзя кожная праява беларушчыны, якая толькі высоўвала вушы ў сферы культуры, не здзяйснялася? Як на маю думку, таму што яна адразу палітызавалася. Чаму мы сёння робім сваю справу ў Вільні, а не ў Менску? Бо там у Менску мы друкавалі б улёткі і адозвы. А тут маем магчымасць абдумваць і пераварваць ідэю беларушчыны, не будучы людзьмі палітычна ангажаванымі. Мы займаемся культурай, а культура — гэта не палітыка. Калі нам удасца пераўтварыць усё гэта, што робім, у з'яву, то тады, магчыма, яна стане выспачкай выратавання для беларушчыны...

Па-мойму, беларушчыну можа выратаваць толькі такая сітуацыя, калі яна стане патрэбная ўладзе, калі яна стане мацаваць дзяржаву і чыюсьці ўладу. А пакуль — палітыкі ў Менску кіруюць людзьмі па-ранейшаму, як савецкім народам, і большасці гэта падабаецца. У такой сітуацыі няма ніякага выратавання...

«Нашу Ніву» чытаюць тыя, каго не пакрываюць сённяшнія беларускамоўныя выданні.

— Чаму нас гэта павінна цікавіць?! Калі прыйдзе на Беларусь нармальны палітык, ён азірнецца вакол — будзе шукаць, дзе тут ёсць нешта стабільнае. Ну і куды ён звернецца, каб унікнуць у праблематыку?

Разумею, ён павінен звярнуцца ў «Нашу Ніву»...

— Безумоўна. Пакуль што, у Беларусі няма на што абаперціся, няма ніякай стабільнасці. Вось ты, напрыклад, тут упіхваеш гэтую палітычную тэму, а для мяне ты — перш за ўсё перакладчык «Уліса». Сам гэты момант дае мне нейкую надзею. Гэта ж абсалютна далёка ад палітыкі, ад усёй гэтай ангажаванасці. Вось у беларускай культуры замала перакладчыкаў «Уліса». Калі іх будзе шмат, гэта будзе даваць адчуванне нейкай стабільнасці. У гэтым будзе нейкая надзея. Гэта будзе тое месца, куды будуць прыходзіць нармальныя палітыкі. Культура павінна стварыць такую выспу стабільнасці сярод гэтай дрыгвы...

Размаўляў Ян МАКСІМЮК

Спявае „РЭАЛЬ”



Аня Богус, Ян Кавальскі, Марыся Вярбіцкая. Сядзяць: Міраслаў Кавальскі, Ян Крыньскі, Славамір Кавальскі.

Фота з архіва гурта

Размова з Янам КАВАЛЬСКІМ, кіраўніком эстраднага гурта „Рэаль”.

Калі ўзнік „Рэаль”?

— Гурт у цяперашнім асабовым саставе існуе тры гады. Але ж, вядома, дачыненне да музыкі мы мелі намнога раней — з рознымі людзьмі і пры розных нагодах. На працягу больш дзесяці гадоў нашай музычнай „кар'еры” (маю на ўвазе сябе ды майго брата Слаўка) мы разоў пяць мянялі назоў гурту: „Dedrom”, „Metrum”, „Test”... Прыходзілі новыя людзі і трэба было ствараць нешта новае. У сярэднім, у адным саставе людзей можна працаваць 2-3 гады. Калі супрацоўніцтва працягваецца даўжэй, нешта пачынае псавацца і тады трэба шукаць новых рашэнняў. Што датычыць гурта „Рэль” — гэты прынцып не кранае сям'і. З братамі можна неяк дагаварыцца. Апрача Кавальскіх, на гітары іграе Янэк Крыньскі.

Калі вы пачалі спяваць беларускія песні?

— Беларускія, а таксама песні на мясцовых гаворках, спяваем ад пачатку. Калі заедзем на вяселле, трэба іграць і спяваць тое, што хочуць людзі. Хто плаціць, той музыку заказвае.

У эстрадным выкананні, з прафесійнай аранжыроўкай, беларускія песні мы спяваем тры гады. Усё пачалося на раённых аглядах беларускай песні ў Гайнаўцы. Тут выступалі мы тры разы і па чарзе мелі: трэцяе, другое і першае месца. У бягучым годзе на II Фестывалі беларускай песні „Рэаль” атрымаў першую ўзнагароду ў катэгорыі эстрадных калектываў.

Мінулагоднім летам „Рэаль” выступаў амаль на кожным беларускім фэстыне арганізаваным самаўрадамі гмінаў на ўсходняй Беласточчыне і БГКТ. Які ў гэтым быў ваш інтарэс?

— Бізенсу з гэтага не было аніякага. На кожны фэстын трэба было даехаць на сваёй машыне ды прысвяціць шмат свабоднага часу, за які таксама ніхто не плаціў. Праўда, аднак, такая, што дзякуючы гэтаму мы ў адносна кароткі час давялі да ведама жыхароў Беласточчыны, што існуе такі гурт братоў Кавальскіх, якія ўмеюць досыць добра спяваць па-беларуску. Адносна вялікую рэкламу зрабілі нам таксама беларускамоўныя перадачы ў Радыё Беласток.

Што робяць сябры гурта, калі не займаюцца музыкай?

Мой брат-блізнюк Славак мае прыватную турысцкую фірму, Янэк Крыньскі працуе ў дрэваапрацоўчай фірме ў Гайнаўцы, а наймалодшы брат — Мірэк — зараз беспрацоўны. Я езджу таксоўкай.

Ва ўмовах, калі члены калектыву пражываюць у розных гарадах, відаць, цяжка дамовіцца на рэпетыцыю ці канцэрт?

— З гэтым ёсць нейкія цяжкасці, аднак мы ўжо выпрацавалі схему дзейнасці. Паколькі амаль уся музычная апаратура перахоўваецца ў нашых бацькоў у Крыўцы, калі ёсць такая неабходнасць — збіраемся там усе, а пасля едзем, куды нам трэба. Прынамсі дагэтуль гэты спосаб не падводзіў.

Уся музычная апаратура, неабходная для правядзення невялікіх мерапрыемстваў, у нас ёсць, аднак калі даводзіцца іграць для некалькітысячнай публікі, апаратура тая не спраўляецца.

Трапляюцца вясковыя „забавы”, на якіх бавяцца некалькі тысяч людзей?

— Натуральна, напрыклад, у Янове ці Бандарах смела можна далічыцца больш паўтары тысячы ўдзельнікаў.

У гадах нашай маладосці на вясковую „забаву” ехалі не толькі каб культурна пагуляць. Найчасцей не абыходзілася без скандалаў, нават салідных мардабояў...

— Здаецца, той час адыйшоў у нябыт. Цяпер на кожным такім мерапрыемстве ёсць людзі, якія сочаць за парадкам, і ўсе ведаюць, што з імі няма жартаў. А калі хто хоча біцца — ідзе кудысьці ўбок.

Аднак, нягледзячы на ўсё гэта, бываюць цікавыя эпізоды. Былі мы сведкамі такога выпадку ў Бандарах. Адзін хлопец учапіўся, каб ўсчаць скандал. Хлопцы з аховы, доўга не думаючы, распранулі яго дагала і так выпусцілі дахаты.

Аднойчы заехалі мы ў Ляўкова. Перад вяселлем пачалі рыхтаваць апаратуру. Падышоў да нас дзядзька гадоў 45-50 і глядзіць, што мы робім. І ў пэўны момант пытаецца: „А дзе ж, хлопцы, вашы бубны? У вас ні гармоніка, ні гітары — як жа вы будзеце іграць?” Калі пачалося вяселле і госці пачалі гуляць, прыйшоў той дзядзька да нас, дастаў паўлітроўку і кажа: „Усё ўсім, але дзе ўсё тое ў вашай

апаратуры месціцца? Калісь, памятаю, музыканты бубны ці гармонікі на ровары цёгалі, а цяпер хопіць адна скрыня і ўсё ёсць..."

Што пра гэта кажа твая жонка? Здаецца, музыкант часта ў сваёй хаце не начуе?

Жонка ў мяне добрая, яна ведае, што я нічога дрэннага не зраблю. А калі ўжо мне скажа, каб я кінуў іграць, буду рашаць — ці мне ехаць іграць, ці шукаць другой жонкі.

На якіх больш прэстыжных мерапрыемствах можна было пабачыць „Рэаль"?

— Леташняй вясной ездзілі мы ў Аполе, дзе нямецкая меншасць наладзіла мерапрыемства „Канцэрт нацый", летам ездзілі ў Варшаву на „Культурную супольнасць". А восенню выступілі перад публікай на II Фестывалі нацыянальных меншасцяў у Гданьску.

Аднак, найбольшая колькасць слухачоў была на II Фестывалі беларускай песні. Ці варта рабіць столькі намаганняў, каб адзін раз у год заспяваць дзве песні?

— Пасля фестывалю мы пачынаем даходзіць да вываду, што, нягледзячы нават на першае месца, няма ў гэтым асаблівага сэнсу. Проста таму, што ўклад працы вельмі вялікі, а, на жаль, ніхто гэтага не заўважае. Таму трэба будзе падумаць, ці ў будучыні будзем прымаць удзел у такіх мерапрыемствах. На фестывалі мы выступілі як „ансамбль БГКТ", аднак нічога канкрэтнага гэта не значыць.

Тры касеты з беларускімі песнямі, якія мы дагэтуль запісалі, рабілі выключна за свой кошт. Першую касету мы найгралі дзякуючы прыхільнасці дырэктара Бельскага дома культуры Сяргея Лукашука. Каб зрабіць дзве апошнія, я, на сваёй машыне, з апаратурай, некалькі разоў цягнуўся ў Віцебск, у Тэатр імя Якуба Коласа, дзе выдатна нам заўсёды дапамагае Генусь Шэмет. А з Беластока ў Віцебск і назад — 1300 кіламетраў!

Доказам на тое, што можна ў беларускай справе нешта зрабіць, ёсць „Вечарыны з Кавальскімі", ідэя, якую я сам запрапанаваў старшыні Яну Сычэўскаму, каб у памяшканні ГП БГКТ ўрэшце пачало нешта дзеяцца. На першую „патанцоўку" прыйшло ўсяго чатыры асобы, на другую — пятнаццаць. У апошні чацвер перад постам — на зале не было свабоднага месца. Відаць па гэтым, што магчымасці ёсць, патрабуе гэта, аднак, нармальнага, людскага падыходу да людзей. Сказанае датычыць адносін паміж БГКТ і ўсімі іншымі калектывамі і гуртамі, якія спяваюць беларускія песні.

Дзякую за размову.

Запісаў Юры КАЛІНА

Żubry ważniejsze od ludzi

Żubr w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat urósł w Polsce do rangi symbolu Białostocczyzny. Ten największy w Europie ssak — zagrożony w przeszłości wymarciem — jest pod szczególną ochroną nie tylko białowieskich naukowców z zakładu Polskiej Akademii Nauk. Interesują się nim także turyści, artyści, politycy. Za to społeczność ludzka zamieszkująca Białostocczyznę nie spotkała się z podobnym pozytywnym zrozumieniem. Wiele natomiast wskazuje na coś wręcz przeciwnego.

Dom spokojnej starości?

Począwszy od lat 70. wsie wschodniej Białostocczyzny pustoszeją, stając się wielkim domem starców. Jest to skutek ekonomicznego zapóźnienia regionu — mającego swoje korzenie jeszcze w okresie carskiej Rosji i dwudziestolecia międzywojennego. Dzisiejsza sytuacja gospodarcza i cywilizacyjna tych ziem jest również wynikiem prowadzonej z premedytacją w ostatnim półwieczu polityki. Jak wykazali w latach 80. naukowcy, wschodnia część województwa białostockiego była w okresie powojennym niedoinwestowana. Decydenci z rządzącej partii stanowili o tym, że z jedynej wówczas kasy państwowej więcej pieniędzy płynęło do zachodnich niż do wschodnich gmin województwa. Podatki płacili wszyscy po równo, ale na wschodzie zamieszkiwali Białorusini.

Białorusin płaci dwa razy

W Białymstoku w okresie powojennym utworzono kilka wyższych uczelni, muzeów, a także teatry (dwa) i inne instytucje kulturalno-oświatowe. Miasto wyrosło na jedno z centrów polskiej kultury i nauki. Z liczącego kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców prowincjonalnego ośrodka stało się blisko 300-tysięczną metropolią. To głównie do Białegostoku emigrowała ze wsi białoruska młodzież. Ucząc się i pracując pomnażała "wspólne" bogactwo materialne i duchowe. Jednak dopiero od 1956 roku, poprzez działalność społeczną w BTSK, Białorusini mogli w części przynajmniej zaspokajać swoje potrzeby kulturalne, oświatowe, naukowe. Towarzystwo otrzymywało nieduże środki finansowe, które pochodziły z budżetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zgodnie z ówczesnym prawem, MSW nadzorowało działalność BTSK, przy okazji po części nim kierowało. Co gorsza jednak, odbywało się to za pieniądze białoruskich podatników. W tej absurdalnej sytuacji Białorusini, by mieć na przykład muzeum chroniące zabytki kultury białoruskiej, musieli płacić podatki na równi ze wszystkimi obywatelami na polskie muzea państwowe oraz — dodatkowo — budować własne muzeum, tak jak to się stało w przypadku muzeum w Hajnówce. Podobnie było i jest w innych dziedzinach działalności kulturalnej.

Papierowe gwarancje

Od upadku kolejnych rządów w państwach "demokracji ludowej", w Europie obserwuje się duże zainteresowanie mniejszościami narodowymi. Powszechnie uznane zostały prawa człowieka do zachowania tożsamości narodowej i rozwoju kultury narodowej. Cywilizowani Europejczycy doszli do wniosku, że zasada: "nie rób drugiemu, co tobie niemiłe" powinna być zastosowana także przez większość. Kiedy na Zachodzie zabrakło straszaka komunizmu, pozostały własne problemy, np. zamachy bojówek IRA w Północnej Irlandii czy baskijskiej ETA w Hiszpanii. Te doświadczenia z własnego podwórka, w połączeniu z nową sytuacją w Europie Środkowo-Wschodniej, gdzie w każdym państwie potencjalnie możliwe są konflikty na tle etnicznym, otworzyły oczy zachod-

nich polityków. Rozpoczęły się dyskusje oraz podpisywanie różnego rodzaju dokumentów, zawieranie traktatów międzypaństwowych regulujących kwestie mniejszości narodowych. Polska czynnie w tym uczestniczyła, efektem czego jest m.in. ratyfikowanie traktatu podpisanego z Republiką Białoruś o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, w którym reguluje się również kwestie mniejszości białoruskiej w Polsce i polskiej w Białorusi.

Mniejszościom coraz mniej

Przełomem w podejściu rządzących w Polsce do mniejszości narodowych była zmiana zasad dofinansowywania mniejszościowych stowarzyszeń, a wraz z tym — merytorycznej kontroli aktywności kulturalnej Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, Niemców... Oba te zadania przejęło Ministerstwo Kultury i Sztuki. Począwszy jednak od 1990 roku, Ministerstwo z każdym rokiem przeznacza coraz mniej środków na działalność stowarzyszeń mniejszościowych, które są w zasadzie jedynymi instytucjami zaspokajającymi kulturalne potrzeby wielu polskich obywateli.

O równe prawa

Ze środowisk białoruskich wyszło co najmniej kilka konkretnych postulatów, których spełnienie dawałoby podstawy do rozwoju kultury białoruskiej na Białostocczyźnie i w Polsce. Projekty powołania Centrum Kultury Białoruskiej i naukowego Instytutu Kultury Białoruskiej trafiły już dawno do wszystkich kompetentnych władz i instytucji. Do dziś — bez jakiejkolwiek odpowiedzi. Dyskusje nad nimi jak czkawka powracają w kuluarach wielu spotkań w Warszawie, Mińsku, Białymstoku, Hajnówce.

Jednocześnie rozdmuchuje się do nierealnych rozmiarów balon Zielonych Płuc Polski, nawet Europy. Tworzy się stosy papierów z ekspertyzami, opracowaniami, wnioskamii dotyczącymi dalszych losów lasów, bagien... wreszcie żubrów w północno-wschodniej części Polski. Zgodnie z prowadzoną propagandą, dzieje się to z myślą o człowieku i dla jego dobra. Tak naprawdę jednak wcale nie dostrzega się w tym wszystkim interesów ludzi zamieszkujących region nazwany Zielonymi Płucami Polski — w znacznej części Białorusinów. Społeczność ta, jako naturalny od wieków składnik tych ziem, powinna być również zauważona i odpowiednio potraktowana. Tym bardziej, że znalazła się ona w takiej sytuacji, że aby nie wyginąć do ostatniej sztuki, powinna chyba się znaleźć pod ochroną.

Niekończąca się opowieść

Nieraz zadaję sobie pytanie, jak to jest możliwe, że na Białostocczyźnie utrzymuje się jeszcze wcale niemała społeczność różniąca się kulturowo od polskiej większości. Bo przecież doświadczenia historyczne na pierwszy rzut oka wskazują, że Białorusinów w Polsce dawno być nie powinno. Jest więc coś zagadkowego w tym, co nakazuje tym ludziom być narodem i trwać za wszelką cenę.

Sławomir IWANIUK

У Акруговым музеі ў Беластоку (у ратушы) з канца лютага можна аглядаць выстаўку мастакоў-фотаграфікаў з Нямеччыны і нашага рэгіёну, пад загалоўкам „Annaherung. Zbliżenie". Тэмай здымкаў з'яўляецца чалавек, яго жыццё, прырода і краявід паўночна-ўсходняй Польшчы, а перш за ўсё Беласточчыны.

Прадстаўленыя ніжэй здымкі памешчаны ў выставачным альбоме.

ГАСПАДАР







Joanna PAWLUCZUK

Piotr — trzecie pokolenie

W domu Piotra, gdy siadało się do wielkanocnego śniadania, jeden stół dotąd w zupełności wystarczał. W tym roku, aby pomieścić wszystkich gości, trzeba będzie dostawić drugi. Piotr, uczeń maturalnej klasy jednego z białostockich ogólniaków, postanowił zwołać rodzinny zjazd.

Piotr przyszedł na świat w połowie lat siedemdziesiątych, jako drugie dziecko w rodzinie wiejskich nauczycieli. Jego pierwszym domem były trzy niewielkie pokoje na poddaszu w szkole.

Język babci

W czasie, gdy mamusia po raz kolejny "przerabiała" z uczniami "Janka Muzykanta", a tatuś przygrywał na akordeonie na lekcjach śpiewu, nim i starszą siostrą opiekowała się babka. Bajki, które opowiadała — o kozakach, carach i zamkach — bardziej podobały się dzieciom niż czytane przez mamę książeczki o fabrykach i traktorach.

— Mamusiu, dlaczego babcia mówi na książkę — knižka?

— Bo twoja babcia, Piotrusiu, nie umie rozmawiać po polsku, tylko po prostu. Ale to brzydki język i nie ucz się synku takich słów.

Jak większość szkół na Sokólszczyźnie, ta w której mieszkali z roku na rok stawała się coraz bardziej pusta. Rodzice Piotra nie czekali, aż ją zamkną i przeprowadzili się do zbiorczej szkoły gminnej, gdzie otrzymali wygodne mieszkanie w Domu Nauczyciela. W chwili przeprowadzki Piotr miał zaledwie trzy lata, ale dość dobrze ją zapamiętał, bo świat wokół niego nagle stał się zupełnie inny. Z okien nowego domu nie było już widać cebulastych kopuł cerkwi, gdzie co niedzielę chodziła babka, czasem zabierając ze sobą wnuków. Zamiast nich teraz rozpościerały się ogromne połacie pól, po których jeździły traktory i kombajny, w oddali majaczyły wysokie wieże.

— Tam, synku, jest granica, a za nią Białoruś. Tam nie wolno tobie chodzić — pouczał ojciec.

Z wczesnego dzieciństwa Piotr zapamiętał też, jak na drzwiach do ich mieszkania ktoś namalował krzyżyk. Matka później chodziła zapłakana. Dopiero po kilku dniach stała się znowu wesoła, jakoś wtedy, gdy starsza siostra nie mogła doczekać się "Teleranka". Gdy włączyła telewizor, nie było programu. Później pokazywali tylko wojnę i żołnierzy.

Piotr uczył się wzorowo, jak przystało na dziecko nauczycieli. Rówieśnicy ze wsi zazdrościli mu, że miał dużo wolnego czasu i nie musiał, jak oni, pracować w polu. Na feriach zimowych i w czasie wakacji zawsze jeździł na wycieczki, kolonie i obozy. Miał wielu kolegów w całej Polsce, a także za granicą. Nawiązał korespondencję z Pawłem — rówieśnikiem z Mińska. Chłopców łączyło wspólne hobby — obaj budowali modele statków, samochodów, czołgów, samolotów i rakiet kosmicznych. Paweł listy pisał po rosyjsku. Najpierw czytała je mama Piotra i tłumaczyła synowi, co tam jest napisane.

Piotr był w piątej klasie, gdy w szkole wprowadzono naukę języka białoruskiego. Nauczycielką zgodziła się być jego mama, absolwentka liceum pedagogicznego, w którym nauczany był też język białoruski. Razem z Piotrem na te zajęcia uczęszczało kilkanaścioro uczniów.

— To nie jest żaden język białoruski, tylko język prosty. Tak rozmawia nasza babka — zauważył Piotr.

— Trochę inaczej — odrzekła od niechcenia matka.

Wakacje u dziadka

Piotr ukończył szkołę podstawową i rozpoczął naukę w liceum. Zamieszkał u krewnych. Był uparty i ambitny — dużo czasu poświęcał na naukę. Nie mógł zostać w tyle za miastowymi. Bywało, że nad zadaniem z matematyki potrafił przesiedzieć całą noc, póki go nie rozwiązał. Co tydzień jeździł do rodziców. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w mieście czuje się obco i niepewnie. Wtedy uświadomił sobie, że sokólskie pagórki i opustoszałe wioski muszą mieć w sobie coś szczególnego. Swoją małą ojczyznę postanowił poznać od nowa.

— Piotr, jedziesz z nami w góry? — tuż przed wakacjami proponowali mu koledzy.

— Dzięki, ale zostaję w domu.

Dwa letnie miesiące spędził u dziadka na wsi, niecałe 10 kilometrów od szkoły, gdzie mieszkał z rodzicami. Dziadek nie miał już gospodarstwa, był na rencie, ale zawsze wynajdował jakąś robotę. A to płot się walił, a to deski leżały nie w tym miejscu co trzeba. Wnuk pomagał więc w obejściu, jeździli furmanką do lasu po drewno, remontowali płot, stodołę. Piotr lubił słuchać opowieści z życia dziadka, szczególnie tych z czasów zakrętów historii.

— Ty lepiej do polityki się nie mieszaj — usłyszał któregoś dnia od dziadka — wystarczy, że ja się nacierpiałem.

W dwudziestoleciu międzywojennym ta okolica była terenem, gdzie intensywnie działała "komuna". W młodości dziadek należał do "Hromady" i Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. — Zbieraliśmy się z Prytyckim i Wałoszynem z Harkawicz, nieraz obrywaliśmy od granatowych. Tu była bieda, komin na kominie, w każdej chacie mieszkało po kilkanaście osób. Zagony były już tak wąskie, że nie sposób ich podzielić. Bić panów! Pola i łąki będą wasze! Takie hasła znajdowały poparcie.

Dziadek za swoją działalność trafił do więzienia. Do nosa wlewali mu ocet, ale nikogo nie wydał. Był o krok od Berezy Kartuskiej. Gdy przyszli sowieci, pierwszy rwał się do organizowania kołchozu. Takich było wielu. Harowali jeszcze ciężej niż wcześniej na swoich gospodarkach. Mit prysł, gdy większość zbiorów ciężarówki wywiozły w głąb Rosji. Na drugi rok mieli już dość kołchozu, pracowali w żółwim tempie. Pewnie całą wieś wywieźliby na Syberię, ale wkroczył Niemiec.

Piotr dowiedział się jeszcze o nocnych wizytach bandytów i o zmuszaniu prawosławnych do wyjazdu z Polski. Okazało się, że dziadek także zapisał się na repatriację. Na drugi dzień się rozmyślił. Jeszcze nie było za późno.

— Mieszkalibyśmy dzisiaj na Biało-

rusi. Tak, jak mój brat — zakończył dziadek skróconą historię swej młodości.

Wyjazd na Białoruś

Po wakacjach Piotr zaczął interesować się historią regionu. Często chodził do biblioteki, zaglądał do księgarń. W książkach szukał informacji o Białostocczyźnie i o Białorusi. W antykwariacie kupił tomik Sokrata Janowicza. Później przeczytał prawie wszystkie jego książki — te po polsku i te po białorusku. Zaczął czytać "Niwę" i "Czasopis". Nie rozumiał sporów toczonych przez redaktorów.

W czasie następnych wakacji wybrał się z kolegami na "Basowiszcza". Marzył o zagraniu w kapeli rockowej. Wkrótce nadarzyła się okazja i dołączył do zespołu, któremu brakowało akurat gitarzysty. Po kilku miesiącach prób zaproponował kolegom udział w najbliższym "Basowiszczu". Musieli jednak zmienić repertuar. Spróbowali zagrać i zaśpiewać po białorusku. Nie wyszło. Zamiast na "Basowiszcza" pojechał na Białoruś. Ojciec chciał odwiedzić stryja i zabrał ze sobą syna.

Aby określić własną tożsamość, młodzież nie musi stawać w opozycji do rodziców, gdyż rodzina nie pełni już tak wszechogarniających funkcji w ich życiu. Rodzice nie są autorytetem, ale też nikt od nich tego nie wymaga.

Młodzież lat 90. nie chce się sama określać. Nie uznaje słowa "my", preferuje "ja".

Z badań CBOS, kwiecień 1994 r.

Białoruś, o której czytał w książkach, była inna od tej, którą ujrzał osobiście. Piotr zobaczył szare, brudne miasta i biedne wioski. Ale ludzie okazali się mili i gościnni. Stryj przyjął ich bardzo serdecznie. Mieszkał w kołchozie i był już na emeryturze. Dorabiał, wożąc mleko do zlewni. — Ja muszę coś robić, bez roboty nie mogę żyć — wyjaśnił, gdy siedzieli za obficie nakrytym stołem. Piotr zapytał o przeszłość, ale stryj nie chciał na ten temat rozmawiać. Dopiero, gdy gospodyni wyszła do komory, skąd przyniosła kolejny kubek bimbru — wzruszył się, rozpłakał i zaczął wspominać.



...Opustoszałe wioski muszą mieć w sobie coś szczególnego

Fot. Archiwum

— Kiedy rano wyjdę z domu i spojrzę przed siebie, to zdaje mi się, że zaraz za lasem są Krynki, tylko kilka kilometrów stąd... Szybko wracam do rzeczywistości — wiem, że w rodzinne strony już nie wrócę. Prawie pięćdziesiąt lat już tu żyjemy, moje dzieci tu pozakładały swoje rodziny, tu jest nasz dom.

Staruszek opowiedział o długiej podróży, którą kiedyś przebył ze swoim ojcem, matką i rodzeństwem. Razem z nimi jechało wielu sąsiadów i mieszkańców pobliskich wsi. Wszyscy wieźli ze sobą prawie cały swój dobytek — konie, wozy, pługi, ubrania, żywność. Dwa miesiące wagony były ich domem. Wielu zachorowało, niektórzy zmarli. Gdyby wiedział, że tak wygląda droga do "raju"...

— Mus było jechać, żyć nie dawali. Co noc przychodzili, wyganiali nas przed dom. Rabowali co się dało. Kiedy zabrakło już mięsa, słoniny, jajek, kur i chleba, powiedzieli jasno: albo do raju, albo do ziemi.

W powojennym bałaganie transport stryja dotarł aż do Morza Czarnego. Po drodze zabrano im cały dobytek. W końcu zawrócili i osiedli pod Kleckiem. Przydzielono im gospodarstwo po rodzinie katolickiej, która wyjechała do Polski.

— Byli takimi Polakami jak i my. Tu cały czas żyli tylko Białorusini.

Później już stryj zadawał pytania. A co ten robi, a ile tamten ma dzieci, a kiedy zmarł sąsiad, a czy ich dom jeszcze stoi, a ta lipa na rogu wsi...

Mieli już wracać do Białegostoku, ale Piotr jeszcze namówił ojca na wyjazd do Mińska. Chciał spotkać Pawła, kolegę z listów. Udało się — Paweł wciąż mieszkał tam samo. Ucieszył się z przyjazdu Piotra. Był już studentem fizyki, z przybyszami z Polski rozmawiał po białorusku.

— U nas teraz swoje państwo... no może nie do końca, ale kiedyś się odrodzimy. Wy, Białorusini na Białostocczyźnie, macie pewnie lepiej.

Piotr nie chciał kontynuować tematu. Zapytał, czy nadal zajmuje się modelarstwem.

— Nie mam dziś na to czasu. Szkoda, że nie robiliśmy modeli zamków białoruskich. Wiesz, ile ich tu było? Pozostało jeszcze trochę, chociaż ruiny, ale ile kryją tajemnic...

***

Na feriach Piotr napisał kilkanaście listów. Zaprosił w nich bliższą i dalszą rodzinę na Święta Wielkanocne. W czasie spotkania rodzinnego chce zadać jedno pytanie, chociaż zna już odpowiedź.

— Mamo, kim my jesteśmy?

— Polakami.

— A ty, tata, jak sądzisz?

— Myślę, że Białorusinami.

— Babciu, kim my jesteśmy — Polakami, czy Białorusinami?

— No... Białorusinami.

Joanna PAWLUCZUK

Dorota SULŻYK

Zbierałam kwiaty i trawy

"Pamiętasz Słabuszychę? Była u nas raz na herbacie, jadła kurczęta z sosem rękami i nie ogryzione nóżki dla swego dziada chowała" — pisała Eliza Orzeszkowa w liście do przyjaciółki. Słabuszycha to gość nie byle jaki, bo sama wiedźma rodem z nadniemeńskiej wsi Miniewicze. Niełatwo pani z dworu zdobyć zaufanie wiejskiej kobiety, a cóż dopiero wiedźmy-znachorki. Orzeszkowej się udało i jakaś część tajemnic białoruskiej wiedźmy pozostała na kartkach pisarki. "O tych i wielu podobnych rzeczach mówić zaczęła wiele i chętnie dopiero gdy spostrzegła, że to jej zysk przynieść może. Zwykle jednak mówiła cicho, oglądając się z widoczną obawą, aby mowy jej nie podsłuchali ci, którym nie ufała, albo z którymi nie chciała dzielić się swoją wiedzą".

1. Wiedźma — ta, co wie

Słowa pisarki świadczą o tym, że niemałą rolę w obłaskawianiu wiedźmy miały brzęczące sakiewki. Narażała się Słabuszycha wyjawiając swe sposoby. Wiedźmy przekazywały tajemnice dopiero przed śmiercią, gdyby zrobiły to wcześniej, ich czary mogły stracić moc. Tak wierzono na Białorusi w II poł. XIX w. Narażała się też sama pani Orzeszkowa idąc na spotkanie z nadniemeńską wiedźmą. "Ona wiedźmaruje" — straszyły ją miniewickie kobiety.

W II poł. XIX w. nie było na Białorusi wsi, która nie miałaby swojej wiedźmy. Wystarczyło nieskonkretyzowane posądzenie, aby do końca życia uchodzić za czarownicę, czy też jakiś przypadek, aby zdobyć sławę znachorską. Cała Europa w tamtych czasach jeszcze ciągle wierzyła w czarownice. Ale zgadzano się, że na Białorusi wiara ta była powszechniejsza, a i wiedźm można było tu naliczyć więcej niż gdzie indziej.

Milkowszczyzna, Świsłocz, Miniewicze, Poniemuń, Poniżany, Białowieża — to białoruskie wsie, które miały dla Orzeszkowej specjalny urok. Zimne miesiące spędzane w nielubianym przez nią Grodnie równoważyła ciepła nadniemeńska wieś. "Ludzie stworzyli miasta, a bogowie wieś" — to ulubiony aforyzm Orzeszkowej. Pani Elizie dane było spędzać wakacje na wsi białoruskiej, czyli tam, gdzie cywilizacja była rzadkim domownikiem. Czarownice, czy też, jak częściej zwano je na Białorusi — wiedźmy, były tymi, co wiedzą i tymi, co znają (znachorki). Znały się na ziołach, kwiatach, musiały więc urzekać panią Elizę. Orzeszkowa jako kobieta była wrażliwa na piękno i tajemnicę kwiatów, jako pozytywistka nie tylko chciała cieszyć oczy pięknem świata roślinnego, ale pragnęła też każdą cząstkę tego świata nazywać po imieniu, poznać jej tajemnicze moce. A stąd już prosto do chaty tej, co wie i zna.

Wydaje mi się, że Orzeszkową łączyły ze znachorkami, wiedźmami inne nici stosunków, aniżeli folklorystów zajmujących się ziemiami białoruskimi — Jana Karłowicza, Michała Federowskiego, Oskara Kolberga — z opowiadającymi o wierzeniach w siły nieczyste. Ci traktowali to jako jeszcze jeden element uzupełniający opis życia ludu. Orzeszkowa wyczarowała z tego pasję. Ona chyba nawet uwierzyła, że Słabuszycha jest wiedźmą. "Że w Słabuszysze mieściła się część tej złej siły, która najrozliczniejszymi strumieniami rozlewając się po świecie, w najrozliczniejsze sposoby dręczy, krzywdzi, gnębi ludzi, o tym po bliższym z nią zapoznaniu się byłyśmy przekonane. Widać to było z ostrych błysków jej zielonawych oczu (...) nade wszystko zaś z głębokiej jej znajomości zarówno roślinnych, jak wszelkich innych środków, przez które na ludzkie zdrowie i losy dodatnie albo ujemne wpływy wywierać można" — pisała w opowiadaniu "Wiedźma". Wierzono, że wiedźmy są wszechwiedne i wszechmocne, oddają się wyłącznie badaniu tajemnic i sił przyrody. Ta cecha na pewno pobudzała Orzeszkową do rozmów ze Słabuszychą.

Aby zwabić ukochanego do ożenku, należy zakopać w mrowisku nietoperza, a potem wybrać z niego odpowiednią kosteczkę. Na "lubienie" bardzo pomocne jest też ziele zwane **zahartuszką** (od "zahartać" — przyciągać). Ten środek doradzają tylko te z kobiet, które "wiedźmarują". Z ust Słabuszychy pisarka usłyszała o czarach rzucanych w oczy, o tych, które rzuca się w plecy, o załamywaniu ze strasznym zaklęciem kłosów w polu i rzucaniu pod czyjąś chatę ze złymi intencjami związanych tasiemek, o 70 złych wiatrach, o skutkach, które na zdrowie człowieka wywiera wyrzucanie za płot o wschodzie słońca siedmiu szpilek i o innych czarach. Słabuszycha i inne znachorki, o których za chwilę, były wybornym źródłem wiedzy i wierzeń ludu białoruskiego. W powieści "Dziurdziowie" wiara białoruskich chłopów w to, że wiedźma odbiera chłopom mleko, jest motorem poruszającym całą akcję.

Orzeszkowa osobiście znała kilka "wiedźmarskich" i "lekarskich" sław nadniemeńskich okolic — Lucię z Hledowicz, Katarzynę Karaukową z Hornów, Marysię Karasiową i Hanulkę Wysocką z Poniżan, Słabuszychę z Miniewicz. Pisarka używa dwóch rozróżnień: "lekaricha" i wiedźma — tak według niej czynią chłopi białoruscy. Scharakteryzowała je dość dokładnie w szkicu etnograficznym "Ludzie i kwiaty nad Niemnem". Wiedźma jest to kobieta, która za pomocą nie tylko roślin, ale także płazów, nietoperzy, słów i znaków tajemnych oddziaływuje na zdrowie, majątek, losy i charaktery ludzkie, kierując się nienawiścią. Jest to istota nie posiadająca duszy, ulubienica i zarazem własność diabła. Słowa, zawsze wypowiadane cichym głosem, o wiedźmach i całych rodach pozbawionych duszy, wielokrotnie słyszała od białoruskich kobiet. "Lekaricha", albo inaczej znachorka, to kobieta, która zna lecznicze rośliny i gusła, ale nigdy ich na szkodę ludzi nie używa, cieszy się szacunkiem i życzliwością.

2. Znachorka — ta, co zna

Tak jak w wiedźmarskim fachu prym wiodła Słabuszycha, tak znachorskim autorytetem dla Orzeszkowej i powyżej wymienionych nadniemeńskich kobiet jest Lucia z Hledowicz.

Nadniemeńska pisarka po wielu rozmowach z kobietami, które pytała o zioła, zauważyła, że działalność Luci można nazwać czymś na kształt szkoły medycyny wiejskiej. Prywatne lekcje udzielane "pani Ażeszka" (oczywiście nie za darmo) miały miejsce w dworku miniewickim, albo w chacie arcyznachorki. Orzeszkowa, wyjmując z kosza pęk roślin zebranych po drodze, otrzymywała objaśnienia "lekarichy" z Hledowicz: *...Heta sardesznik, od bólów pod piersiami bardzo pomaga, heta zajaczy mak biety...* Ale przychodzi kres wiedzy i Lucia odpowiada: — *Nie wiedaju. Szto znam, ta i każu, a czaho nia znam, taho i nia skażu. Łhać nia budu.* Trzeba było więc szukać uzupełnienia dla Lucinej nauki u innych kobiet. Orzeszkowa, która uczyła swoje uczennice literatury, języków, teraz sama "włóczy się" po nadniemeńskich wioskach i uczy się od mądrego nauczyciela, jakim jest lud białoruski. Pragnieniem jej byłoby zrobić wycieczkę po wsiach w stroju wiejskim, tak aby chwytać życie na gorąco. Wielokrotnie podkreślała, że chłopi białoruscy są wrażliwi na piękno przyrody, że "od najwyższego drzewka do najdrobniejszej trawki, z tej samej, co on ziemi wyrastającej, nie ma rośliny, która by w jego mowie nie posiadała nazwy". Te słowa i powyższe wypowiedzi znachorki Luci pochodzą ze wspomnianego już studium "Ludzie i kwiaty nad Niemnem".

Kwiaty były tuż po pisaniu powieści drugą miłością pani Elizy — jak sama pisała. Oczywiście pomiędzy jednym a drugim, albo nawet przed — byli mężczyźni jej życia. Poprzez kwiaty do chłopskiej duszy — taką właśnie drogą szła pisarka i botaniczka w jednej osobie. "Lato spędziłam jak zawsze na wsi, nad Niemnem. (...) Oddawałam się tam swojej pasji botanicznej, całymi dniami łaziłam po świecie, zbierając kwiaty i trawy, które każde znam z imienia, sposobu życia, stosunków z ludźmi, specjalnie z ludem". To głos już dojrzałej botaniczki. W szkicu "Ludzie i kwiaty nad Niemnem", wydrukowanym w "Wiśle" (1888-1891), Orzeszkowa podaje ok. 300 nazw roślin zapisanych tak, jak usłyszała je od ludu białoruskiego. To niemało, chociaż z jej listów do przyjaciół wiadomo, że w swych zielnikach miała ich więcej. O swoim zielniku pisała, że "z czasem wytworzy mały, ale ładny przyczynek do białoruskiego ludoznawstwa". E. Orzeszkowa jest określana i znana jako ostoja polskości na kresach wschodnich w II poł. XIX w. A wystarczy wziąć trzy roczniki etnograficznego pisma "Wisła" (1888, 1890, 1891), przejrzeć zielniki autorstwa sławnej pisarki, aby przekonać się, jak bardzo ceniła lud białoruski, bo przecież są one niczym innym, jak wynikiem licznych rozmów z wiejskimi babinami. Orzeszkowa nie ogranicza się do wyliczenia suchych nazw roślinnych, podaje właściwości lecznicze, ich zastosowanie w gospodarstwie, zwracając uwagę na spostrzegawczość ludu wiejskiego, ujętą w malowniczości i trafności nazw. I tak, wśród nazw wyrażających zewnętrzne cechy roślin znajdujemy m. in. **szelestuchę** (przy dotknięciu szeleści) i **zubnik** (liść przypomina ząb wyjęty z korzeniem). W drugiej grupie nazw, do której autorka zalicza te, które pochodzą od wewnętrznych (lekarskich, gospodarskich lub czarodziejskich) właściwości są na przykład: **durec** (ma wpływ odurzający, używany często przez wiedźmy) i **szczaście** (dziewczęta w czasie żniw zatykały tę roślinę za pas, aby dodała im szybkości i zręczności). Trzecią grupę autorka tworzy z nazw, które według niej mogły powstać z podań, obserwacji, które zostały zapomniane przez lud: **czerwietosz, zuzuli lon**. Tę ostatnią nazwę i **ziuziulki padaraczki** (konwalia) zalicza do najbardziej poetycznych. Z zielników pani Elizy wiadomo, że **ziella od Walentowej choroby** dobre jest na epilepsję, **skulasznik** od wrzodów, najważniejsza i najczęściej jednak używana do celów leczniczych jest grupa roślin nosząca nazwy: **paruszenik, stanounik** i **uraźnik**. Są też zioła, które lud białoruski stosował od "zrobionej" choroby — **kopytnik, dziwana, urocznik** (podkadzało się nim dzieci). Są zioła, z którymi wiąże się czarodziejskie znaczenie: **szczaście, zajacza kapusta, barwinak, zahartuszka, nietupa** (jest na Białostocczyźnie wieś o tej nazwie; lud białoruski wierzył, że po zbudowaniu nowej chaty należy starać się jak największe ilości tej rośliny wetknąć we wszystkie szczeliny chaty, przez co zabezpiecza się ją od "złych wiatrów").

Nie ulega wątpliwości, że Orzeszkowa ocaliła od zapomnienia niejedną białoruską nazwę świata roślinnego czy też informację o jej znaczeniu. Re-



dakcja "Wisły" doceniła pracę autorki, zamieszczając pod szkicem "Ludzie i kwiaty..." notkę o tym, że w obszernym słowniku białoruskim Nosowicza znajdują się tylko niektóre z nazw zebranych przez pisarkę.

"Urodziłam się bowiem w guberni grodzieńskiej i większą część życia przebyłam na wsi wśród zamieszkującej wsie tutejsze rusińskiej ludności, a znajomość jej mowy, jak też moje dla niej sympatie, sięgają pierwszych brzasków mego myślenia i uczucia." — pisała Orzeszkowa do ukraińskiego poety Iwana Franki. Gdy pod koniec życia wspominała swoje dzieciństwo, ze szczerym sentymentem opowiadała o kontaktach z ludem białoruskim. Nie zważając na srogą dworską etykietę w rodzinnej Milkowszczyźnie, małej Elizie pozwalano pracować w dworskim ogródku razem z dziećmi folwarcznych sług. Czytamy w jej "Wspomnieniach": "Wtedy po raz pierwszy usłyszałam chłopskie bajki, które Franek (ogrodnik) opowiadał i nauczyłam się trochę mówić po białorusku, ponieważ moi przyjaciele zwracali sie do mnie po polsku, ale pomiędzy soba rozmawiali w swoim języku". Wprawdzie Milkowszczyznę trzeba było sprzedać i przenieść sie do Grodna, ale to co usłyszała i czego się nauczyła w rodzinnych stronach było już malutkim, ale bardzo ważnym krokiem do tego, w czym odnalazła się po latach. Taka znajomość "rusińskiego" języka, jaką wyniosła z lat dziecinnych, chyba wystarczała jej do zrozumienia białoruskich wierszy Franciszka Bahuszewicza, pieśni, bajek, przysłów, wierzeń mieszkańców wsi nadniemeńskich i do kontaktów z nimi.

Dorota SULŻYK

Irena MATUS

Ucieczka w głąb Rosji

Zachowały się tylko nieliczne relacje i źródła dokumentujące okres od chwili wybuchu pierwszej wojny światowej po akcję tragicznego bieżeństwa. Powinno to budzić niepokój, tym bardziej, iż było to długotrwałe i jakże brzemienne w skutkach zjawisko, które dotknęło olbrzymią grupę prawosławnych mieszkańców wschodniej Białostocczyzny. Dysponujemy bardzo skąpymi przekazami, ukazującymi nastroje i poczynania miejscowej społeczności, dotyczącymi tego okresu. Dlatego też bezcenne są relacje naocznych świadków tamtych wydarzeń. W chwili obecnej są to już ludzie w podeszłym wieku, często z trudem powracający pamięcią do tamtych smutnych czasów. Zważywszy na fakt, iż mieli oni wówczas najczęściej po kilka lat, ich wiedza i sposób pojmowania tamtych wydarzeń są dość skąpe. Dlatego też niezwykle cenne i dające pełny obraz rzeczywistości są wspomnienia osób dojrzałych. Takie właśnie są relacje byłego proboszcza parafii prawosławnej w Klejnikach — Jana Chlebcewicza, który doświadczył tragedii bieżeństwa, stając się, jak wszyscy mu współcześni, ofiarą wojny i bezdusznej polityki caratu.

Jan Chlebcewicz przyjął święcenia kapłańskie w wieku 40 lat. W 1897 roku otrzymał swoją pierwszą parafię, którą były Klejniki. Jego kilkunastoletni pobyt w Klejnikach odznaczał się intensywną pracą duszpasterską oraz działalnością społeczną i wielkim wysiłkiem włożonym w rozwój cerkiewno-parafialnej oświaty wśród ludności okolicznych wsi. Był jednym z nielicznych duchownych, którzy popierali tworzenie bibliotek ludowych im. Pawlenkowa. Przez kilka lat taka biblioteka funkcjonowała w Klejnikach, a prowadził ją osobiście ks. Chlebcewicz.

W duchu tolerancji i przywiązania do narodowych białoruskich tradycji wychowywał swoich synów. Jeden z nich, podpisujący się pseudonimem "Chalimon spad puszczy", był stałym korespondentem gazety białoruskiej "Nasza Niwa". Proboszcz Chlebcewicz swoją postawą zaskarbił sobie szacunek i długoletnią pamięć miejscowej ludności. Jego wspomnienia z czasów pierwszej wojny światowej dają interesujący obraz nastrojów miejscowej ludności i stanowią ciekawe wprowadzenie do tych zagadnień.

Informacja o wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej do Bielska Podlaskiego dotarła telegraficznie 2 sierpnia 1914 roku. Spowodowało to olbrzymie zamieszanie, graniczące z paniką. Przerażona ludność drżała o swoje życie i majątek. Bardzo tłoczno i gwarno było tego dnia na ulicach. Wszyscy, starzy i młodzi, przekazywali z ust do ust wieści o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Powszechnie panowało przekonanie, że Niemcy błyskawicznie zajmą ziemie byłego Królestwa Polskiego i za 10 dni dotrą do zachodnich krańców guberni grodzieńskiej.

Po kilku dniach ogłoszono mobilizację, a wraz z nią rekwizycję koni, furmanek i dobytku. Zbiegło się to w czasie z pracami żniwnymi.

Informacja o wybuchu wojmy błyskawicznie obiegła okoliczne wsie. Do Klejnik dotarła jeszcze tego samego dnia. Jednocześnie władze cerkiewne i świeckie wydały polecenie duchownym prawosławnym by okazywali pomoc przy sprawnym przeprowadzeniu mobilizacji i rekwizycji na terenie ich parafii. Władze poleciły również zorganizowanie pomocy rodzinom zmobilizowanych gospodarzy przy uprzątaniu zbóż.

Wkrótce dotarła wiadomość o zatrzymaniu linii frontu niemiecko-rosyjskiego. Panika powoli ustępował miejsca zdrowemu rozsądkowi. Tragedia wojny była odczuwana poprzez pryzmat rodzin, które miały kogoś na froncie. Przypominały o niej również przeprowadzane kilkakrotnie we wszystkich cerkwiach powiatu bielskiego zbiórki na potrzeby armii. Brakowało przede wszystkim bielizny dla wojska. Reakcja ludności była na ogół pozytywna. Do parafii przynoszono najczęściej zwoje lnianego płótna własnej roboty, rzadziej gotową bieliznę. Z zebranego płótna wiejskie dziewczyny szyły bieliznę. Całą akcję wspierały żony duchownych, nauczyciele szkół cerkiewno-parafialnych i ludowych. Szyto najczęściej wieczorami w salach lekcyjnych. Następnie pod nadzorem duchownych gotową bieliznę pakowano i rozsyłano pod wskazane adresy jednostek wojskowych. Ofiarność i niesienie pomocy armii rozumiane było przez miejscową ludność jako obowiązek i powinność wobec cara i ojczyzny.

Pozorny spokój trwał do lata 1915 roku. Jeszcze w lipcu 1915 roku, pomimo błyskawicznego rozwoju sytuacji na froncie, większość mieszkańców Bielska była przekonana, że wojska rosyjskie będą wycofywać się jedynie do linii Kowno-Grodno-Brześć, a dalej na wschód Niemcy nie zostaną wpuszczeni. Zgodnie z tą teorią mieszkańcy niektórych wsi ewakuowali się jeszcze wcześniej do Puszczy Białowieskiej. Chciano w ten sposób przeczekać do spokojniejszych czasów, by potem wrócić do rodzinnych wsi. Warstwy lepiej sytuowane (duchowni, urzędnicy, lekarze, nauczyciele) wysyłali rodziny do wschodnich powiatów guberni grodzieńskiej i dalej na wschód. Wyjeżdżali głównie ci, którzy mieli tam krewnych. Jeszcze na kilka miesięcy przed ewakuacją ludzie, którzy pracowali i mieszkali w centrum Polski, przysyłali na Białostocczyznę swych bliskich, gdyż tereny te wydawały się nie zagrożone. Pod koniec lipca 1915 roku sytuacja zaczęła się zmieniać. Obserwowało się wielkie poruszenie miejscowych władz i nerwową atmosferę panującą w wojsku. Linia

frontu zbliżała się w szybkim tempie. Gdy oddziały wojskowe poczęły się wycofywać, miejscowa ludność został całkowicie zdezorientowana. Niektórzy, na przełomie lipca i sierpnia jeszcze nieliczni, oszołomieni podsycaną przez wojsko propagandą, szykowali się do ucieczki w głąb Rosji. Dotyczyło to przeważanie małomiasteczkowej inteligencji. Najtrudniej było podjąć taką decyzję chłopom, których największym bogactwem była ziemia i gospodarstwa. Żydzi i ludność katolicka opierała się nakazom władz odnośnie ewakuacji. Duże zasługi położyło w tym duchowieństwo katolickie, które wręcz nakazywało parafianom pozostać na miejscu. Taka postawa ludności polskiej uratowała od tragedii bieżeństwa niejedną rodzinę prawosławną, szczególnie na terenach mieszanych wyznaniowo i narodowościowo. Byli i tacy, którzy nie zdążyli uciec przed Niemcami i w drodze wchłonął ich front. Stosowana przez Rosjan taktyka spalonej ziemi nie przyniosła przewidywanych rezultatów militarnych, ale za to zapoczątkowała gehennę wyrwanej ze swoich odwiecznych siedzib ludności cywilnej. Okazało się to brzemienne w skutki nie tylko w latach pierwszej wojny światowej, lecz rzutowało praktycznie na cały okres międzywojenny. Bieżeństwo doprowadziło do kompletnej ruiny gospodarczej i tak bardzo ubogich prawosławnych wsi na Białostocczyźnie.

Wycofujące się wojska rosyjskie wypędzały ludność cywilną z kolejno opuszczanych wsi i miasteczek. Działano przeważnie w wielkim pośpiechu, stąd jedynie w przypadkach chwilowego zatrzymania się frontu ludność miała kilka dni na przygotowanie się do wyjazdu. Celowo rozprzestrzeniane przez wojsko opowieści o rzekomym bestialskim postępowaniu Niemców wobec ludności cywilnej i paleniu zabudowań przynosiły zamierzone efekty.

Proboszcz parafii prawosławnej w Klejnikach nie zwlekał z ewakuacją do ostatniej chwili. Wcześniej wysłał żonę i córki do rodziny mieszkającej we wsi w powiecie słonimskim. W Klejnikach pozostał jedynie z najmłodszym synem — Włodzimierzem. Pomieściwszy swój majątek: ubrania, przedmioty codziennego użytku, książki, na dwóch drabiniastych wozach, wyruszył w drogę. Trasa ucieczki prowadziła przez Puszczę Białowieską i dalej w stronę powiatu słonimskiego, gdzie czekała reszta rodziny. Na drodze panował straszny tłok, uciekinierzy poruszali się bardzo powoli, 2-3 kilometry na godzinę. Kolumna przemieszczała się w zwartym szyku, często dochodziło do dłuższych postojów, które powodowały zatory. Ewakuujące się wojska rosyjskie również blokowały drogę uchodźcom, spychając ich z drogi i zmuszając do dłuższych postojów, aby nie tarasowały drogi armii. Kilka kilometrów przed Narewką Chlebcewicze byli świadkami wielkiej paniki, jaka wybuchła w taborze uciekinierów. Jej powodem był nisko przelatujący samolot. Wystraszona ludność w popłochu rzuciła się do ucieczki, szukając schronienia w lesie.

Po południu 21 sierpnia uciekinierzy z Klejnik dotarli do leżącej wówczas w granicach powiatu prużańskiego Narewki. Panowało tam olbrzymie przeludnienie; w miasteczu koczowali uchodźcy, ewakuujący się żołnierze różnych narodowości, razem z nimi ogromne ilości zarekwirowanych chłopom zwierząt.

Nazajutrz Chlebcewicze zjechali z głównego traktu, próbując przedostać się przez puszczę w kierunku powiatu słonimskiego. Po drodze napotykali ogromne stada porzuconych na pastwę losu gęsi. Część z nich wyłapywali wycofujący się kozacy, reszta szła w rozsypkę.

Uciekinierzy szczególnie dotkliwie odczuwali brak wody i obroku dla zwierząt pociągowych, z których był doszczętnie ogołocony główny szlak, którym ciągnęli uciekinierzy.

Chlebcewicze przejeżdżali przez wieś Masiewo i tam zatrzymali się na noc. Część mieszkańców wsi ewakuowała się, a ich domostwa zajęli uciekinierzy. 25 sierpnia Chlebcewicze dotarli szczęśliwie do wsi Dziewjaczkowicze, gdzie oczekiwała na nich żona i dwie córki. Trzech synów wcześniej zmobilizowano.

28 sierpnia cała rodzina udała się na najbliższą stację kolei Moskwa-Brześć-Kossowo. Tam byli świadkami trudnego do opisania chaosu i paniki. Dookoła stacji koczowały tysiące uciekinierów i żołnierzy, znaczną przestrzeń zajmowały porzucone, często nierozładowane, furmanki. Wszyscy oczekiwali na możliwość wyjazdu. Panował trudny do opisania gwar i zgiełk, w powietrzu unosiły się przesłaniające niebo kłęby kurzu. Pomimo częstych dezynfekcji, w obozowiskach panowała epidemia cholery, pochłaniająca tysiące ofiar.

Szczęśliwym trafem udało się młodemu Chlebcewiczowi znaleźć miejsce dla rodziny w jednym z wagonów stojącego jeszcze na stacji pociągu. Warunkiem wyjazdu było jednak pozostawienie bagażu. Rodzina zdecydowała się jednak kontynuować podróż furmanką, w nadziei że znajdą stację kolejową, gdzie bez problemów można będzie załadować cały dobytek. Droga prowadziła w stronę Bobrujska. Chlebcewicze kolejny raz wtłoczyli się do taboru uchodźców, który rozciągał się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Tempo marszu było powolniejsze niż poprzednio, pokonywano średnio 1-2 kilometry na godzinę. Umęczone i wygłodzone konie z trudem ciągnęły załadowane po brzegi furmanki. Bieżeńcy zmuszeni byli iść pieszo obok wozów. Przemieszczanie się kolumny dodatkowo opóźniały wycofujące się z twierdzy brzeskiej wojska, które spychały uciekinierów z drogi i zmuszały do kilkugodzinnych postojów. W powietrzu unosiły się kłęby żrącego kurzu, fetor rozkładających się ciał zwierząt i ludzi. Po obu stronach drogi stały rzędy furmanek, a przy nich leżeli chorzy i konający bez najmniejszej nawet nadziei na pomoc. Spotykano ciała ludzkie, których nie miał kto pogrzebać. Szczególnie dokuczliwy był brak wody pitnej, przydrożne studnie były zupełnie puste.

Chlebcewiczom w końcu udało się szczęśliwie trafić na pociąg, w którym znaleźli miejsce dla siebie i bagaży. Furmanki i konie pozostawili na pastwę losu obok torów. W ten sposób rozpoczęła się ich gehenna, jakiej doświadczyły setki tysięcy uchodźców w tym okresie.

Irena MATUS

Wszyscy oczekiwali na możliwość wyjazdu. Panował trudny do opisania gwar i zgiełk, w powietrzu unosiły się przesłaniające niebo kłęby kurzu. Pomimo częstych dezynfekcji, w obozowiskach panowała epidemia cholery, pochłaniająca tysiące ofiar.

Jerzy KALINA

Zemsta po latach

Próżno by szukać jakichkolwiek informacji o Szpakach w regionalnych bibliografiach, przewodnikach turystycznych czy informatorach gminnych. Wieś, położona w gminie Brańsk, w granicach prawosławnej parafii z siedzibą w Maleszach, nie doczekała się żadnego opracowania monograficznego. Omijali ją również reporterzy białostockich gazet i radia.



Pomnik pomordowanych mieszkańców Szpak

Szpaki witają przybysza widokami przypominającymi wieś białoruską z okresu międzywojennego. Po obu stronach zrujnowanej nawierzchni drogi stoją chaty poprzedzielane opuszczonymi placami, zarosłymi zielskiem i krzewami. We wsi, zapomnianej przez Boga i miejscowe władze, od ośmiu lat elektryczność włączano tylko w nocy, bo nie było komu zająć się remontem linii elektrycznej. Trudno dziś nawet przypuszczać, że niegdyś te okolice, szczególnie pobliski Brańsk, przeżywały

czasy wielkiej świetności.

Brańsk i okolice znane są w historii Królestwa i Rzeczypospolitej co najmniej z kilku powodów.

Na wschodnim skraju miasta znajduje się uroczysko "Kumnat" — domniemane miejsce bitwy stoczonej w 1264 roku pomiędzy wojskami Bolesława Wstydliwego i Jaćwingami dowodzonymi przez Komata.

Kilkaset lat później, jesienią 1628 roku, kat brański wykonał wyroki śmierci na 26 miejscowych szlachcicach, skazanych przez sąd grodzki za liczne mordy i gwałty, których dopuścili się na ruskiej ludności Podlasia. Egzekucja była wykonana w ciągu jednego dnia, co było absolutnym rekordem Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

W grudniu 1825 roku doszło w Brańsku do bezprecedensowego w tych okolicach wystąpienia dekabrystów. Bunt wojska stłumiono, a przywódców po złagodzeniu wyroków śmierci zesłano na Syberię.

Tych kilka zaledwie przykładów zaczerpniętych z miejskiego informatora o Brańsku i okolicach świadczy o dawnej świetności regionu. Nieszczęścia zaczynają się dopiero po 24 września 1939 roku, kiedy to, jak humorystycznie napisał Zbigniew Romaniuk w informatorze, "Brańsk zajęli Sowieci, którzy miasto włączyli do Republiki Białoruś".

Zupełnie inne zdanie o miejscu, w którym przyszło im żyć, mają prawosławni mieszkańcy wsi Szpaki.

W gównianym miejscu przyszło żyć

To, co w cywilizowanych krajach stanowi o ich bogactwie i atrakcyjności, w przypadku Szpak i okolicznych wsi zadecydowało o tragedii ich mieszkańców. Sąsiedztwo prawosławnych i katolików, układające się przedtem jako-tako, 2 lutego 1946 roku przemieniło się w trudne do opisania tragedie wielu ludzi.

Wspomina mieszkaniec wsi Szpaki, rocznik 1940.

W 1946 roku miałem tylko 6 lat, ale to, co się działo w naszej okolicy, pamiętam z najdrobniejszymi szczegółami. Czasy, szczególnie w okresie tak zwanego "utrwalania władzy ludowej", naprawdę były bardzo trudne. Na porządku dziennym były rekwizycje mienia gospodarzy. Leśni, podający się za "wojsko polskie", brali wszystko, co im popadło pod rękę. Wełnę, ubrania, buty, kożuchy, jedzenie, ostatni bochen chleba... Jednak to, co się stało 2 lutego, trudno naprawdę opowiedzieć.

Tego dnia, pod wieczór, od strony Malesz do wsi na pięciu furmankach wjechał oddział wojska. I od razu zaczęli chodzić po domach, rabować i zabijać ludzi. Ja z babcią siedziałem w domu, na takiej szerokiej ławie, które wtedy były modne. Jak przyszli do nas, w wojskowych ubraniach, dziadek, który był dobrym myśliwym i miał w domu broń, chciał złapać broń, ale już nie zdążył. Dziadka i sąsiada, który był u nas w domu, Dionizego Szeszko, na moich oczach położyli na podłogę i zastrzelili. Jeden z nich zaczął mierzyć z automatu do mnie i babci. Ale drugi do niego mówi: "Ten bachur i starucha niczego nie winni". I tak nas zostawili. Za co zabili dziadka i sąsiada, nie wiem.

Podobne sceny rozgrywały się we wszystkich prawosławnych domach we wsi. Prawosławnych mordowali, grabili im wszystko co popadło pod rękę i wszystkich wysyłali do Moskwy, do Stalina. A gdzie tam miało być dla nas miejsce, to cholera ich wie!

Pijani w dym bandyci (wszyscy byli pijani!) brali się za dziewczyny. Z tego co ja wiem, to tego dnia zgwałcili dwie, NN i Marysię Pietruczuk. Marysia nie chciała się im poddać, to uciekającej wsadzili w plecy 42 kule. NN zgwałcili i puścili wolno. Zaraz potem wyjechała na Śląsk i żyje tam chyba do dziś.

Do Polaków nie mieli pretensji. Opowiadali potem ludzie, że jak przypadkiem zapalił się dom katolika, to jednen z nich klął: "O cholera, Franciszka przez pomyłkę podpaliliśmy". A tak naprawdę, to nikt go nie podpalał, a tylko wiatr przeniósł ogień z sąsiedniej chałupy.

Mogę się tylko domyślać, że oni już wcześniej wiedzieli, kogo trzeba zabić i spalić, i to musiał powiedzieć ktoś z tutejszych. Był u nas jeden taki, Andrzej Filipczuk, prawosławny, który chodził z tymi bandami. Potem, jak ich rozbili, to on uciekł do Bielska (Podlaskiego — J.K.). *W Bielsku też długo nie wysiedział. W końcu wrócił do Szpak i zaczął gospodarzyć. Długo to nie trwało. Znaleźli go pod lasem z kulą w głowie, i tak trzeba! I z prawosławnych też trafiali się bandyci.*

Paweł Pilipczuk rozpoznał jednego i odezwał się do niego po nazwisku. I to wystarczyło. Janka Szeszko spalili w stodole. Potem ludzie mówili, że miał

automat i chyba się bronił. Poza nim nikt się nie bronił, każdy uciekał, gdzie się dało. Ja z babką uciekliśmy do pobliskiego lasu, gdzie był pusty kopiec po kartoflach. Bez czapki, w jednym walonku, przeczekałem jakoś noc, a nazajutrz przyszliśmy do domu.

Oni, jak zrobili swoje, to pojechali na furmankach w kierunku Wyszek.

Zabitych 11 osób pochowaliśmy na cmentarzu prawosławnym w Maleszach.

Ze wsi mało co zostało. Zaraz po tym chyba 19 rodzin musiało wyjechać, przeważnie do Bielska, bo nie było gdzie mieszkać i z czego żyć, nie było ratunku. Poza tym, ludzie bali się tu zostawać.

Wspomina mieszkaniec wsi Szpaki, rocznik 1934.

Było to pod wieczór, byłem akurat u sąsiada, Bałło. Tam zauważyliśmy, że drugi koniec wsi płonie. Przybiegłem do ojca i mówię, że coś się dzieje niedobrego. Ojciec zerwał się z łóżka i pobiegł na ulicę. My wszyscy zostaliśmy w domu. Przez okno zauważyłem, że na nasze podwórze wszedł wysoki mężczyzna w mundurze wojskowym, z erkaemem na piersiach. Ojciec w tym czasie wypędzał krowy i konie z chlewów. I ten wojskowy, bo widziałem to przez okno, strzelił do ojca z bliska z pistoletu. Ojciec upadł.

Trudno powiedzieć, dlaczego oni zabijali. Wiem z całą pewnością, że mój ojciec nie należał do żadnej partii, czy organizacji. W 1941 roku, za pierwszego sowieta, kiedy zmuszali wszystkich iść na pochód pierwszomajowy, to tato nie poszedł.

Ludzie we wsi, katolicy i prawosławni, mieli pretensję do takich dwóch rosyjskich dezerterów, którzy zostali po przejściu frontu i mieszkali w Szpakach. Ci Rosjanie robili co chcieli. Pili wódkę, a potem, jak nie było czego jeść, to rabowali sąsiadów. Mieli broń, wychodzili w pole i strzelali do owiec. Słyszałem, że dwa razy zabijali i kradli owce w sąsiednich wsiach. Ale czy za tych Rosjan, którzy nie byli przecież tutejsi, trzeba było zabijać niewinnych ludzi?

W gównianym miejscu przyszło żyć, ot i wszystko.

Pacyfikacji Szpak dokonała część oddziału Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem kpt. Romualda Rajsa, ps. "Bury", która wcześniej, po pacyfikacji Zaleszan, odłączyła się od głównej grupy oddziału.

Kilkanaście lat po tych wydarzeniach służby komunalne wybudowały jednakowe pomniki upamiętniające śmierć mieszkańców pacyfikowanych wsi. W Szpakach napis wyryty na płycie głosi: "W latach 1941-1946 z rąk niemieckich faszystów zginęli mieszkańcy wsi SZPAKI Michał Pietruczuk s Józefa ur 1918 członek KPZB, Aleksander Żukowski s Hipolita ur 1911 członek KPZB, Eugeniusz Bałło s Marka ur 1922, Jerzy Bałło s Marka ur 1925, Jan Szeszko s Onufrego ur 1902, Antoni Szeszko s Teodora ur 1901, Paweł Pilipczuk s Stefana r 1900, Wasyl Kłoczko s Jakuba ur 1883, Maria Pietruczuk c Józefa ur 1926, Dionizy Szeszko s Teodora ur 1896, Jan Szeszko s Prokopa ur 1923 CZEŚĆ ICH PAMIĘCI".

Trudno dzisiaj dociec, czy autorzy podpisu świadomie "minęli się z prawdą". Inna rzecz, że nie znalazł się nikt, komu zależałoby na jego zmianie.

***

Od dłuższego czasu zastanawiałem się, co mogło być bezpośrednim powodem tak okrutnego traktowania białoruskich mieszkańców podlaskich wsi przez oddziały polskiego podziemia. Utarte powiedzenie, że trwała wówczas wojna domowa i ofiary były nieuniknione, jest z pewnością prawdziwe, nie wyczerpuje jednak do końca tego złożonego problemu. Oficjalne statystyki z okresu PRL-u brutalnie potwierdzają to za pomocą liczb. W latach 1944-1947 w powiecie bielskim zginęło 411 osób cywilnych i wojskowych, 180 członków organizacji podziemnych, setki aresztowano i prześladowano za działalność przeciwko "władzy ludowej".

Dopiero rozmówcy ze Szpak uświadomili mi, że powodów przeprowadzania czystek etnicznych i wysyłania "ruskich" do Stalina należy dopatrywać się gdzie indziej. Powszechnie panujący wówczas głód ziemi, bieda oraz duże przeludnienie (nawet pomimo ubytku ludności spowodowanego wojną) powodowało, że ziemia była towarem pożądanym przez wszystkich chłopów. W tym i wielu innych przypadkach, znalazło to ujście w denuncjacjach sąsiadów przed oddziałami leśnych, które operowały w okolicy. Zadarzało się również tak, że partyzanci byli bezpośrednio zainteresowani tego rodzaju rozwiązaniami, gdyż sami pochodzili z tych wsi. W rezultacie nie można wykluczyć, że wysyłanie do Stalina sąsiadów nie-Polaków było kamuflażem chęci zawładnięcia ich kawałkiem gruntu. W przypadku Szpak ten zamiar częściowo się powiódł.

Gospodarze, którzy mimo wszystko pozostali na swoim, do dziś żyją we wzajemnej nieufności i, nie da się ukryć, zapóźnieniu cywilizacyjnym. Jeden z nich, prawosławny, jest przekonany, że gdyby jego rodzina w ramach repatriacji, do której ich tak namawiano, wyjechała do BSRR, żyłoby się im tam znacznie lepiej. Katolikom ziemia ich byłych sąsiadów nie przyniosła bogactwa i szczęścia. Jedni i drudzy dziś pozbywają się jej za lichą emeryturę na rzecz państwa.

Czyżby okrutny los zemścił się w ten sposób za krew sąsiadów sprzed pięćdziesięciu lat?

Jerzy KALINA

Fot. Autor

PROROK NA SCENIE

Wszyscy pamiętają, jak wiele emocji wywołał prezentowany w teatrze TV spektakl Tadeusza Słobodzianka pt. "Prorok Ilja". Czas uspokoił nastroje i dziś mało kto już wraca do tego tematu. W całym tym sporze, a raczej nieporozumieniu, towarzyszącym spektaklowi, T. Słobodzianek i jego twórczość zostały jakby nieco z boku. Mało kogo chyba na Białostocczyźnie zainteresowało przesłanie sztuki, wszyscy zaś skupili się na penetrowaniu jej otoczki, tak jakby zawarte w prezentowanym dziele myśli, idee, były tylko dodatkiem do uszytego na odpowiednią miarę garnituru. Może będę w tym momencie nieuprzejmy i dotknę kogoś (z góry przepraszam), ale mam wrażenie, że jedyne echo, jakie pozostawiła po sobie ta sztuka, to dobiegające "zza stodoły" głośno i wyraźnie brzmiące k... i ch...

Słobodzianek, jak sam mówi, lubi prowokować. "Notatnik teatralny"*), którego 9 numer trafił właśnie na rynek, poświęcił mu w całości swoje łamy. Każdy, kto z jakichkolwiek przyczyn śledzi twórczość tego dramatopisarza, o którym przecież ostatnio tak wiele się mówi, może odnaleźć w tym piśmie odpowiedzi na różne swoje wątpliwości. Na początku numeru znajduje się największy i najważniejszy tekst — wywiad z T. Słobodziankiem. Czyta się go w niektórych miejscach jak wykład z teatrologii. Bo też i o teatrze to głównie rozmowa. Gdzieś w tym wszystkim majaczy jak cień postać proroka Ilji.

Sam nie wiem, majaczy bardziej w mojej wyobraźni, w której telewizja zajmuje coraz więcej miejsca, czy może przedziera się jej obraz przez plątaninę wydarzeń opowiedzianych przez Słobodzianka. (Dlaczego prorok Ilja jest dla mnie tak bardzo podobny do Jerzego Treli?).

Teatr.
Trzeba patrzeć, żeby widzieć.

Same zabiegi intelektualne, nawet najbardziej logiczne interpretacje, nie pozwolą wniknąć w sens słów i obrazów. Kto tego nie pojmie, nie zrozumie Słobodzianka. Przedstawienie teatralne odbywa się bowiem w innej przestrzeni niż konkretne wydarzenie. Nie da się sztuki "Prorok Ilja" ocenić w wygodnej i dość prymitywnej chyba kategorii zgodności jej treści z faktami autentycznymi, nie można też bezpośrednio odnosić do pokazanych w spektaklu portretów psychologicznych i kulturowych ich autentycznych pierwowzorów. Pomijając fakt, że nikt dokładnie nie zna tamtych wydarzeń, ważniejsze jest, że to przecież nie o rzeczywistość chodzi autorowi sztuki, a o teatr właśnie. Nie mają więc chyba racji ci, którzy zarzucają Słobodziankowi kłamstwa, celowe naginanie rzeczywistości, wyszydzanie białoruskich chłopów, prawosławia. To nie kłamstwo, to po prostu inna prawda — "jedna z".

Grupa ludzi postanowiła zrealizować swoje marzenia na przekór rzeczywistości tzn. podporządkować rzeczywistość swoim marzeniom. To jest fundamentalny temat XX wieku — opisuje Słobodzianek sens zdarzenia, które uczynił on swoim przedstawieniem, projekcją pewnej uniwersalnej idei.

Słobodzianek to twórca, artysta. On odkrywa, potrafi odnaleźć i zrozumieć pewne rzeczy nagle, pod wpływem jednego zdarzenia, chwili. Inaczej niż na przykład naukowiec, który stosując pewną metodę dochodzi do wniosków. Włodzimierz Pawluczuk pisząc swoje "antropologiczne" ksiażki o kulturze tradycyjnej i o samym Wierszalinie, aby odkryć te wszyskie prawdy, a raczej prawa, które opisał, musiał przeprowadzić ogromną kwerendę: robić wywiady, studiować fachową literaturę itd. A Słobodzianek? Opowiada, jak wyglądało jego pierwsze spotkanie z Pawłem Wołoszynem. *Zupełnie przypadkiem spotkałem go na leśnej drodze i wdałem się z nim w rozmowę. Zapytałem, co się stało z Ilją? On mi przedstawił taką teorię: Ilja całe życie czytał Biblię, a potem przyszedł czas, że ludzie czytali "Kapitał". Wie pan, o czym jest "Kapitał"? — zapytał mnie Wołoszyn? Mówię mu, że wiem, ale zaczął mi tłumaczyć: to jest o tym, że człowiek nie powinien wykorzystywać drugiego człowieka do tworzenia wartości dodanej. Ci ludzie, którzy czytali "Kapitał", doszli do wniosku, że Ilja żyje z wartości dodanej i nie mogli tego znieść... Myślałem, że zwariowałem. K...a. Tu las, ja na rowerze, a tu idzie facet w czapce, z brodą i ja z nim rozmawiam o "Kapitale" Marksa. Już mi nic więcej nie trzeba było. Uświadomiłem sobie, że nie ma czegoś takiego jak "Mazowsze", jak "Chłopi" Reymonta, facetów z kosami śpiewających pieśni, całego banału na temat wsi. Nagle zrozumiałem, że z takich ludzi jak Wołoszyn składa się tamta rzeczywistość.* Trzeba tu jednak dodać, że nie tylko z takich jak Wołoszyn ludzi składała się tamta rzeczywistość, ale też nie z takich jak "Mazowsze".

Jak scenografia tworzy atmosferę, tło sztuki, tak w "Notatniku teatralnym" znajduje się wiele tekstów opisujących rzeczywistość, która inspirowała pisarza.

Grzybowszczyzna.

Tam spotykają się wszyscy. Wędrują, przychodzą. Budują Wierszalin, stolicę świata. Każdy chciałby położyć choć jeden kamień pod taką budowlę, poczuć jego ciężar. I spełniały się marzenia. Miały się spełnić.

Ilja.

Dziadek z brodą, z krzyżem na piersi. Pokażmy go w telewizji milionom ludzi. Kim będzie? Mitem, legendą, lokalnym kolorytem jakiegoś "zabitego dechami" miejsca. *Bardzo łatwo zrobić z tego kabaret* — mówi Słobodzianek mając na myśli "Proroka Ilję". Ja, kiedy spotykam na św. Górze Grabarce "na Spasa" jakichś proroków, widzę ich bose nogi, ciężkie, ciążące ku ziemi krzyże na szyi, jakieś znaczki przypięte na piersi i traktuję ich jako specyficzną część tego święta, jego surowy, organiczny składnik. Ale nigdy nie interesują mnie oni w kategoriach religii i znikają wraz z nadejściem czasu odjazdu ze Świętej Góry. A Ilja? Czy był kimś innym? Dzisiaj, za sprawą sztuki Słobodzianka, jest nie tylko przeszłością, stał się postacią w teatrze, swego rodzaju symbolem, nośnikiem pewnej idei, żywej i uosobionej. Ilja Słobodzianka to "teatr". Nawet te autentyczne plenery, to przecież tylko scenografia.

Wydarzenia, które dzieją się w "Proroku Ilji" można zobaczyć, a potem ocenić, skomentować różnie. Kogoś może rozśmieszyć rubaszny język jego bohaterów, innego po prostu obrazić. Dzisiaj ludziom na Białostocczyźnie, mimo dużej odległości czasowej i coraz większej kulturowej od tamtych wydarzeń, bez porównania łatwiej "odnaleźć się" w klimacie sztuki, zrozumieć niektóre jej cytaty, niż na przykład widzowi z Warszawy (choć kto tam wie?). Nie powód to jednak, by przez pryzmat spektaklu Słobodzianka oceniać rzeczywiste wydarzenia. Co innego badać i stwierdzać fakty, a co innego obejrzeć sztukę.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Sprowokował mnie oczywiście "Notatnik teatralny". Ważniejsze chyba jednak jest to, że sam oglądając w teatrze TV przedstawienie "Prorok Ilja" miałem różne dziwne może odczucia. Odnosząc niektóre aluzje Słobodzianka do siebie, do "swojej" rzeczywistości, momentami czułem jej ciężar tak, jakby coś mnie bezpośrednio dotknęło. Ale czy mogło być inaczej — pytam siebie — jeśli ścieżki były jakieś znajome, domy podobne do tych, gdzie mieszkają moi krewni, na ścianach wisiały ikony prawosławne...? Czy nie jest to — owo odczucie — przejawem jakiegoś kompleksu (?), który każe zadawać pytanie: Po co pokazywać brudnych, białoruskich, prawosławnych chłopów, którzy klną, chędożą, są okrutni, głupi..?

W "Notatniku..." znajduje się wiele interesujących tekstów. Obok wspomnianego już wywiadu ze Słobodziankiem, jest tam esej Sokrata Janowicza, wywiady z aktorami występującymi w wiadomym spektaklu, m.in. z Jerzym Trelą, zamieszczono rozmowy z P. Wołoszynem, M. Filipiukiem, M. Miniukiem, krótki, interesujący tekst o Grabarce i in. Nie tylko dla kogoś, kto lubi teatr, 9 numer "Notatnika..." może być ciekawą lekturą. Niektóre teksty, czytane osobno, nie będą wręcz miały nic wspólnego z obszarem zainteresowań Melpomeny (a może Talii?). A jednak całość, to przedstawienie, gdzie wszystko ma swoje ściśle określone miejsce. Tym razem jednak zamiast na widowni, usiądziemy za kulisami.

Jerzy SULŻYK

*)*Notatnik teatralny, Zima '94/95 (9).*

Mała wielka historia

Z wielką przyjemnością przeczytałem książkę Ireny Matus wydaną w połowie lutego staraniem Białoruskiego Towarzystwa Historycznego*). Na prawie 250 stronach autorka przedstawiła w sposób niezmiernie ciekawy dla czytelnika historię rodzinnej wsi oraz ludzi, których życie stało się cząstką naszej przeszłości. Nie jest to sensu stricto monografia miejscowości, lecz żywa epopeja, przedstawiająca kulturę duchową i materialną ostatniego stulecia, a przede wszystkim losy ludzi na tle wydarzeń wielkiej polityki, wojen, i przemian społeczno-gospodarczych.

Książka składa się z siedmiu rozdziałów, zestawionych w sposób chronologiczny oraz jedenastu aneksów. Dużą wartość faktograficzną posiada 69 ilustracji i zdjęć, które zostały wkomponowane w tekst. Najstarsze z nich pochodzą z końca XIX wieku.

Pierwszy rozdział prezentuje najstarsze dzieje wsi. Oprócz źródeł i opracowań, z których korzystała autorka, ciekawe jest odwoływanie się do tradycji ustnej i wiązanie przekazywanych od pokoleń podań z możliwymi faktami historycznymi.

W następnych rozdziałach opisano wieś na przełomie XIX i XX wieku, okres I wojny światowej, ze szczególnym zwróceniem uwagi na wydarzenie o doniosłym znaczeniu — uchodźstwo (bieżeństwo), odbudowę życia po powrocie w latach 1919-1921. Szczególnie te dwa ostatnie rozdziały, prezentujące problematykę uchodźstwa, posiadają bezcenne znaczenie naukowe. Temu zagadnieniu dotychczas w historiografii poświęcano niewiele miejsca, było ono mało zbadane, mimo że odegrało ogromną rolę gospodarczą, demograficzną i kulturową.

Piąty rozdział poświęcony został okresowi lat 1921-1939, dekadom względnej stabilizacji. Tak jak przy opisie wydarzeń sprzed 1914 roku, najwięcej miejsca poświęcono warunkom życia codziennego, fukcjonowaniu gospodarstwa, tradycji i zwyczajom, oświacie i światopoglądowi ówczesnych ludzi.

W szóstym rozdziale autorka przedstawiła wydarzenia z lat 1939-1944, burzliwego okresu, w którym kilkakrotnie zmieniały się władze i podobnie jak w czasie I wojny światowej dawidowiczanie znaleźli się w różnych armiach, nieraz w odległych miejscach, w którym wieś ponownie została ciężko doświadczona.

Ostatni, najkrótszy rozdział dotyczy okresu wyzwolenia wsi w 1944 roku i ustanowienia nowego ładu społeczno-politycznego.

Książka wzbogacona została biogramami głównych informatorów, podaniem nazw miejscowych gruntów wsi oraz niezmiernie cennymi zestawieniami zabudowy, nazwiskami i imionami mieszkańców wsi z różnych okresów wraz z charakterystycznymi dla wsi białoruskiej nazwami patronimicznymi rodzin. Jednak szczególną wartość posiadają — ze względu na pionierski charakter i często już niemożność znalezienia świadków — dane o uchodźstwie zawarte w aneksie IV, V i VI. Mogą one stać się źródłem do rożnorodnych badań, jak chociażby demograficznych, socjologicznych i genealogicznych.

Wielką zaletą książki, na którą mogą zwrócić uwagę czytelnicy, jest staranna szata graficzna, kolorowa okładka, duża liczba zdjęć. Starannnie również wykonano korektę tekstu i dobrze opracowano go technicznie. Korzystne byłoby — szczególnie dla czytelnika nie zorientowanego w geografii Białostocczyzny — zamieszczenie mapki regionu z zaznaczeniem wsi.

Książka na pewno nie pozostawi nas obojętnymi, zarówno ze względu na ukazane w niej bogactwo naszej przeszłości, jak i wskazanie na ogrom bezcennych informacji, tkwiących w ludzkiej pamięci i świadomości.

Należałoby tylko życzyć nam wszystkim, aby podobne badania podjęli inni. Wszak żyją wśród nas ludzie, którzy byli uczestnikami tej małej, a jakże wielkiej historii.

Wiesław Choruży

*) Irena Matus, *Wieś Strzelce-Dawidowicze w tradycji historycznej*, Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1994, redaktor Oleg Łatyszonek, ilustracji 69, s. 242.

Sokrat JANOWICZ



-4-

Siłą motoryczną sekty, jej mocą sprawczą stawało się ogólnoludowe przekonanie o zbliżaniu się owego Sądu Bożego. Na to wskazywały całkiem czytelne znaki na niebie i ziemi. Rzeczy to niesłychane — pani zabiła pana, młodociana córka dostała brzucha (...), wójt nawiał z kasą gminy, bogacz obwiesił się w kurniku, alfons malował fałszywki dolarowe, za niespłacone podatki posadzono rolnika, krowa organisty ma dwugłowe cielę, sołtysowa przyłapała męża na kochaniu się z gniadą kobyłą (...), złoto u lichwiarza pokryło się rdzą, pewnej ognistej wdówce stopy przemieniły się w kopyta, pijak puścił płomiennego pawia i zgorzał, wnuk żebraka został inżynierem, wojewodzie udowodniono brak metryki chrztu, koń beknął — baran zarżał, kuma urodziła trojaczki — po tygodniu zaś jeszcze dwojaczki, car zmartwychwstał i obił pyski Leninowi, Hitler jest karą Bożą na Żydów za ukrzyżowanie Chrystusa, nauczyciel okazał się niepiśmiennym...

Uderza krzyżowanie się postępu z zacofaniem. Klimowicz posiadłszy, poniekąd niechcący, olbrzymie środki, myślał poprawnie, nie tracąc ich na dokonania ulotne. Skąpił złotówek na dzwony cerkiewne, nie żałował wszakże zanadto na trwalszą odmianę dachówki, czy gruntowne ocembrowanie studni wierszalińskich. Raj w jego wizji kształtował się solidnie i funkcjonalnie, z białorusińską zapobiegliwością. Tępił wielkopańskie fanaberie, szafiarstwo. Dary w naturze zbywał karczmarzom oraz płóciennikom. Będąc właściwie w daleko posuniętych latach, ożywiał się jakoś młodzieńczo, ku serdecznemu zaskoczeniu pretorian, i jak gdyby rozkwitał na umyśle. Przestawał gderać, częściej zaś rozkazywał, żądał i kontrolował. Stawał się innym człowiekiem, bardziej działaczem aniżeli świętym. Poczuł grunt pod nogami i ruszył stępa. Miewał swoje paradoksalne śmiesznostki, jak ta, kiedy przy okazji zamawiania kafli do pieców w cegielni szudziałowskiej, nawrócił do pobliskich

Nie wstąpię drugi raz do tej samej rzeki

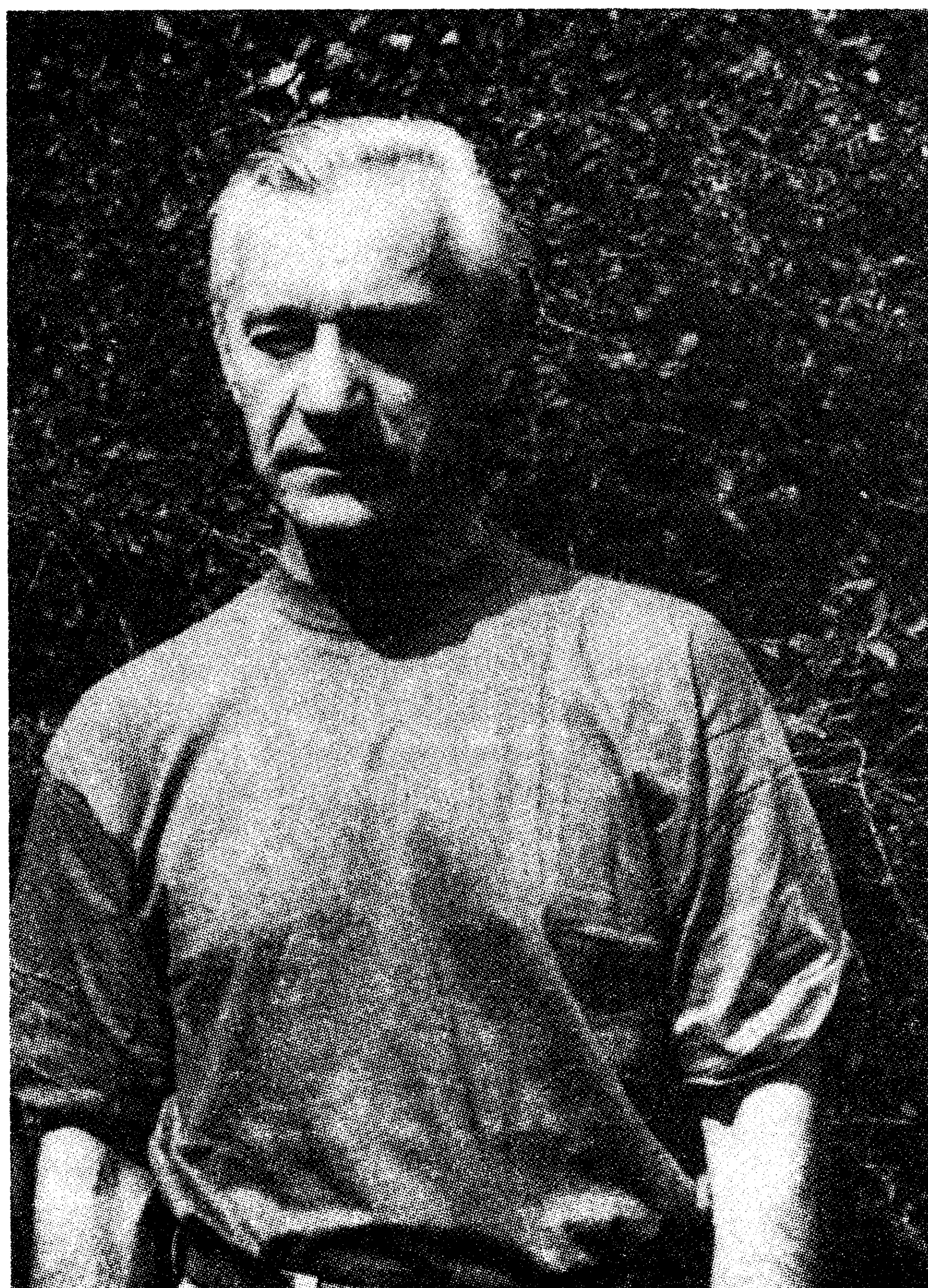
Rozmowa z Janem CZYKWINEM

Jaka jest dziś kondycja i sytuacja pisarza białoruskiego w Polsce?

— W Polsce, w ostatnim czasie, dotychczasowe miejsce i rola pisarza w ogóle — w hierarchii wartości i potrzeb społecznych — zmieniły się nie do poznania. Zdecydowanie na gorsze — jak sądzę — dla samych literatów. Nie mówię o literaturze. Przeto także o kondycji literatów białoruskich lepiej nie mówić. Wielka nasza macierz nigdy nie wspierała nas finansowo, a tu byliśmy też tylko na jałmużnie. To prawda, że w ciągu już ponad trzydziestu lat, od chwili zaistnienia naszego ruchu literackiego, wydaliśmy nieco książek, przypuszczam — najwięcej ze wszystkich mniejszości narodowych zamieszkałych w Polsce (ośmiu kolegów z naszego środowiska jest członkami Związku Literatów Polskich). Lecz jakim wysiłkiem zostały okupione te książki, to tylko nam wiadomo. A przecież nasz potencjał był znacznie większy, mogliśmy dokonać o wiele więcej w sprzyjających okolicznościach.

Czy to prawda, że poeta powinien być trochę nieszczęśliwy, bo wtedy trochę więcej czuje i widzi?

Jest myślenie potoczne, zwyczajne, którym posługuje się większość ludzi; im właśnie zupełnie wystarczy owa pospolita umiejętność powielania pewnych wzorców, szablonów w celu, rzekłbym, utrzymania się na codziennym poziomie kontaktów społecznych; i jest myślenie twórczo-artystyczne, odbiegające od norm myślenia powszedniego, a jeśli nie stale odbiegające, to na pewno



Jan CZYKWIN (ur. 1940, Dubicze Cerkiewne)
Poeta, historyk literatury, tłumacz. Pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1989 r. prezes Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego "Białowieża". Inicjator i redaktor Biblioteczki tego stowarzyszenia. Wieloletni redaktor stronicy literackiej tygodnika "Niwa". Opublikował: **Idu** (1969), **Swiataja studnia** (1970), **Niespakoj** (1977), **Na progu świata** (1983), **Splot słoneczny** (1988), **Swietły mih** (1989), **Kruhawaja czara** (1992).

Fot. Wojciech Bogucki

Krynek, gdzie wykupił bilety na spektakl objazdowego teatru białoruskiego, podarł je i wdeptał w błoto, by uchronić w ten oto sposób tutejszą gawiedź przed grzeszną iluzją świata wydumanego przez jakowegoś gryzipiórka z faryzeuszowego frajerstwa. Z tego rozpędu wykupił też innym razem pieczywo białe, bułki i bułeczki, wywalając w pioruny te łakocie do rowu z fekaliami, jako że deprawacje to czarcie! Nic nie zastąpi mąki spod żaren na chleb i cebuli na ząb (gdybyż uwiadomił go kto, że włoszczyzna z Włoch wolnomyślnych została zawleczona w te północne opłotki!).

Katastrofa wisiała w powietrzu od początku eliaszowszczyzny; jej sens warunkował bowiem ów koniec świata, który — po chłopsku uczciwie — musiał nastąpić w dokładnie przewidywalnym terminie. To nie mogła być abstrakcja, ciągle obgadywana aż do bólów głowy idea, z której nic widocznego i namacalnego nie wynikało. Biedakom śpieszyło się do słodkiego bytowania w zaświatach, skoro na ziemi zrobiło się nie do wytrzymania, głównie z powodu egzekutorów podatkowych, jak i ogólnej nędzy. Z momentu boomu budowlanego w Wierszalinie za Grzybowszczyzną, zabiegano tym usilniej o względy Eliasza, generalnego planisty i dysponenta drobiazgowo pomyślanego Raju. Zdarzały się dywagacje na temat jabłoni, boć będą jabłka i zawsze znajdzie się jakaś Ewa z Adamem... Wytłuczono profilaktycznie węże w bagienku nie opodal. U ogrodników z Supraśla nabyto sporo sadzonek wisien, grusz, śliw. Martwili się tym raczej pomagierzy, nie odważając się łaskotać nerwów błogosławionego.

Coraz przybywało rodzin, które wyzbyły się wyprzedzająco dobytku, składając uzysk na ręce upoważnionych apostołów. Obracali oni przerastającym ich wyobraźnię dobrem wszelakim, z którego obficie korzystali również żule i zachłanne przybłędy, mimo to w niewielkim jeno procencie umniejszając budżet sekty. Ukończenie Wierszalina wymagało lat, a czas naglił, długa zwłoka nie wchodziła w rachubę. Więc Eliasz ujął stalówkę w zgrubiałe od fizycznej pracy palce i zasiadł do wywodzenia atramentem pokracznych kulfonów, by rozgłosić radosną, bardzo oczekiwaną, wieść, o powtórnym przyjściu Jezusa Chrystusa. Najwidoczniej sam uwierzył w to, że Pan usłucha, bacząc na wzgląd tylu zasług i wyrzeczeń... Kolejny bieg wypadków świadczy, że Wiarę pojmował bez intelektualnej metaforyki, drugiego dna przypowieści, morałów, lecz w bezdystansowej zgodzie z literą uświęconych zapisów. Kazania księży

często łamiące te normy. W tym ujęciu twórca, a więc poeta, to ten, kto zmierza do obranego celu nie po udeptanej drodze, mając do tego jeszcze plan terenu, ale *idzie skacząc po górach* lub przeskakując z dachu na dach, z wierzchołka drzewa na ogon chmury itd. Czy w potocznym rozumieniu to normalny człowiek? Oczywiście, że nie. To nieszczęśnik. Idąc także tą inną, nieprzetartą drogą, jeśli ona jest naprawdę dziewicza, poeta widzi i czuje, i słyszy to, czego inni często nie są w stanie dostrzec, poczuć, uświadomić. Dowiadują się, że obok nich jest jeszcze inny świat — właśnie od twórców, od tych "nieszczęsnych" poetów.

W jakim stopniu pisanie jest dla Pana potrzebą i koniecznością?

Już nieraz zastanawiałem się nad tym pytaniem: czy ja rzeczywiście muszę pisać? Eksperymentowałem na sobie — to, co pojawiło się w mojej głowie, te jakieś przedwerbalne intonacje, rytmy, zaśpiewy, te jakieś związki "obcych" myśli, jakieś asocjacje słów, które czułem, że już są w mojej jaźni, próbowałem to ignorować, ale nie chciałem o tym pamiętać. Uciekałem od tego w czytanie, w słuchanie muzyki, w ćwiczenia szachowe. Po jakimś czasie byłem jednak pokonany — wracałem do kartki papieru jak alkoholik do kieliszka. Od dawna więc męczy mnie pytanie o status mojego ontologicznego istnienia: dlaczego Pisanie wybrało właśnie mnie?

Patrząc na tę kwestię przez mikroskop, od wewnętrznej strony człowieka schodząc aż do zapisu genetycznego — jakkolwiek nauki przyrodnicze jeszcze nie wypowiedziały swego zdania o "mechanizmach" artystycznych jednostki, niemniej istnieje przeczucie, iż jesteśmy także pod tym względem zaprogramowani — przez Matkę-Przyrodę, Boga-Ojca? — Nikt nie wie, ale zaprogramowani jesteśmy, jak twierdzą niektórzy uczeni, już na kilka pokoleń przed naszym zjawieniem się na tym pięknym i tragicznym świecie. Spełniamy zatem coś, co nie jest przez nas samych do końca uświadamiane.

Czym jest dla Pana poezja?

Dla "zarażonego" pisaniem poezja jest sposobem istnienia jego świadomości, która jest wszystkim — i wszędzie — dostrzega jej obecność, jej ślady. Dla mnie, piszącego wiersze, jest ona ponadto procesem psychicznego oczyszczania się z napięć wewnętrznych. I jest również jakąś kompensatą — czuję to: gdybym bowiem nie pisał, byłbym zapewnie aktywniejszy w jakiejś innej dziedzinie. W jakiej — tego nie dane mi jest wiedzieć. Poezja, jak sztuka w ogóle, jest jeszcze czymś, może najistotniejszym zarówno dla twórcy, jak i odbiorcy. Jest tym jedynym ogólnie dostępnym polem duchowej działalności człowieka, gdzie nie rządzi klasyczna dwuwartościowa logika, ale wielowartościowa logika rozmytych znaczeń, pojęć, sądów, wniosków. W świecie sztuki w okamgnieniu wszystko można urzeczywistnić i wszystko unicestwić. Nie działa więc tu zasada powszechnej przyczynowości, paradoksalne są czas i przestrzeń — świat jest relatywistyczny. Lecz taki właśnie relatywistyczny, kwantowy obraz rzeczywistości, odzwierciedlony w sztuce, w poezji, jest bliższy, znacznie bliższy gnoseologicznej istocie bytu niż w klasycznym myśleniu naukowym. Poprzez sztukę świat ujawnia nam najgłębsze swe tajemnice. Na tym polega wielkość sztuki oraz siła jej przyciągania i oddziaływania. Lecz, by to widzieć, trzeba umieć patrzeć w głąb... Na zewnątrz bowiem Sztuka, w tym także Poezja, oślepia nas swoim pięknem. Oślepia — i zmusza do zatrzymania się i wielbienia tylko tego. (...)

W jakim stopniu dzieciństwo i wiek młodości zaważył na Pana poezji?

Niestety, nie wstąpię drugi raz do tej samej rzeki... Ale często powracam tam w myślach. Wtedy ukształtowała się moja osobowość, dokładniej mówiąc, zakładane były jej trwałe podwa-

---

tym akurat nużyły, że nie dawały odpowiedzi wprost, stale pouczając, zamiast raz a kategorycznie ogłosić: co, jak i kiedy! Dziesięć przykazań każdy znał na pamięć i do tego nie był potrzebny kosztowny kościół ani jego otyła z nieróbstwa obsługa.

Jak dzisiaj wiemy, nic z tego nie wyszło. Koniec świata, to wątpliwe od zawsze przedsięwzięcie. Pozostaje zagadką — być to bardzo może, iż nie więcej jak psychologiczną — dlaczego prorok Eliasz z Grzybowszczyzny w Białostockiem poważył się na taki numer? Nie wygląda na to, by całkowicie zerwał był z rzeczywistością, zachowując zarazem niezwykle rzeczowy stosunek do gospodarczej działalności sekty. Patrząc na to z drugiej strony, jakoś trudno się temu dziwić, pamiętając z dzieciństwa umieranie mojej babci, która, czując zbliżanie się godziny śmierci, wydała wcale przytomnie mej matuli i tatkowi arbitralne decyzje majątkowe, po czym spokojnie, bez zbytecznego użalania się odeszła od nas tego samego wieczora. Zignorowanie przez Najwyższego końca światowego zobowiązania Eliasza Klimowicza miało fatalne skutki. Brak przekazów źródłowych o reagowaniu na to samego animatora niedoszłego wydarzenia nie przekreśla uprawnionego domniemania, iż doznał on szoku na równi z wyrzekającym tłumem, odświętnie wystrojonym wokół cerkiewki. Usłyszana potem przez ludziska interpretacja owego niespełnienia, nawiązująca do oklepanych dywagacji "godni-niegodni", tylko nasiliła lament rozpaczy, przeradzający się w eksplozję wściekłości: Co z nami teraz będzie? Z czego mamy dalej żyć? Psychoza zagrażała bandycką rozprawą, w miarę zastępowania bezgranicznej ufności gwałtownie kiełkująca podejrzliwością. Klasyczna sytuacja zmiatania władzy przez motłoch. "Trzeci kapłani" salwowali się ucieczką w puszczańskie obrzeża, wymuszając rejteradę do uroczysk śródleśnych również u Eliasza. Instynkt samozachowawczy okazał swą nagą siłę. Wychynąć z ukrycia znaczyło zginąć haniebnie, zostać startym w proch i kurz!

Inicjatywę przejęli poszkodowani. Wyciosali dębowy krzyż, wykuli u kowala rzymskie ćwieki, przypominające hacele. Chytrze przyłapali wielbionego proroka, by go ukrzyżować dla sprawdzenia jego świętości. Zmartwychwstanie po trzech dniach zrehabilitowałoby nadwerężoną reputację posłańca bożego. Nie byli do reszty pewni pozytywnego rezultatu, skąd i cały ten zamiar, ale też niezbyt powątpiewali w to, że mogą się omylić, jako że wykrycie tą

liny. Wszystko, dosłownie wszystko, było dla mnie takie "najsampierwsze", nowe, świeże, fascynujące — kolory, zapachy, dźwięki, kształty, przestrzenie, zwierzęta, owady, ptaki. Czyste powietrze, woda, ziemia. To wieś. Rodzice moi mieli tu swój dom, dość obszerny, jak się wydawało, malowniczy w architekturze. Nie opodal budynku mieszkalnego rozciągał się tętniący — dniem i nocą — życiem pszczół i roślin — ogród-sad. Dalej były zabudowania gospodarcze i stodoła, gdzie wiecznie pachniało siano. Z jej wysokiego spiczastego dachu, strzechy, na który wdrapywałem się, kiedy nikt ze starszych nie widział, mogłem oglądać nie znany mi widnokrąg. W całości nasza posiadłośc to był solidny zaścianek, położony na uboczu wsi, otoczony starodrzewiem i gęstwiną bzu. I był tam zawsze swój, inny niż na wsi, rytm życia — spokojna, niezbadana synchronia między buszującą wokół przyrodą i nami — licznym, wielogłosym rodzeństwem.

Mieszkałem na wsi, w Dubiczach Cerkiewnych, niedaleko Puszczy Białowieskiej, do której chodziło się nieraz po jagody lub jesienią po orzechy, dziesięć moich pierwszych lat. Dzisiaj, z odległej perspektywy, wydają mi się one utraconą Arkadią, najszczęśliwszą porą mego życia. Mój Boże, czy to naprawdę było? Potem okoliczności wyrwały mnie z korzeni i cały mój dotychczasowy świat utracił pierwotną stabilność. Nie zdążyłem dokończyć mego dzieciństwa w tych normalnych warunkach i układzie, gdzie się urodziłem. Widzę to teraz wyraźnie. Przeto powracając do dzieciństwa nie tylko z nostalgią kartkuję — wspominam wielobarwne dni tamtych, minionych lat, ale też — prawdopodobnie — dopisuję na tych stronicach to, czego nie zdążyłem wtedy przeżyć. Oto tkwiące we mnie najczystsze źródło inspiracji twórczych. Aczkolwiek nie jedyne. (...)

Są też źródła literackie, powiązania i koneksje. Zechciałby Pan — z myślą o czytelnikach — być przewodnikiem po swoich lekturach?

W domu rodzinnym na wsi zawsze były książki — na etażerce, na stołach w pokoju i kuchni oraz w ich długich szufladach. Czytane, wertowane, przeglądane przy każdej sposobności, codziennie. Książki rożnorodne: z rycinami przedstawiającymi nieznane postacie i obce krajobrazy, z czarnobiałymi i kolorowymi rysunkami, także bez ilustracji, w języku rosyjskim, białoruskim, polskim. Od zawsze, jak sięgnę pamięcią, posługiwano się w naszym domu swobodnie, w zależności od sytuacji, poza gwarą naszej wsi, także wspomnianymi językami. Ja oczywiście także je znałem.

W tamtych czasach, tuż po drugiej wojnie światowej, im dalej od centrum kraju, w tym coraz większą wchodziło się ciszę informacyjną. W naszych stronach jedynie książka przez dłuższy czas była jedynym kontaktem z wielkim światem, światem innych ludzi. Była też cudownym źródłem rozwoju wyobraźni. Potem przyszła szkoła i studia rusycystyczne na Uniwersytecie Warszawskim z programem — i słusznie — wielkiego czytania, poznawania literatur wszystkich narodów słowiańskich, jak również zachodnioeuropejskich i narodu amerykańskiego. No i ogromnej literatury rosyjskiej.

Studia pozwoliły mi zrozumieć, że świat sztuki, wielkiej sztuki, więc i literatury pięknej, w ogromnej mierze jest światem autonomicznym. Wielu wątków i motywów, postaci i scen, obrazów, wzorców i technik artystycznych nie da się sensownie pojąć inaczej niż sięgając do ich praźródeł. Dlatego im więcej i wnikliwiej się czyta, tym większą odczuwa się potrzebę czytania. Debiutowałem jeszcze w liceum. I już w okresie studiów pisywałem i publikowałem dość często, rzekłbym, prawie systematycznie. Niewątpliwie iskrę, iskierkę twórczą, podsycały we mnie coraz to inne lektury. Podsycały nie mniej niż tęsknota do stron ojczystych — i zniewalające piękno dziewcząt, wcale nie książkowych.

Kształcenie filozoficzne wyostrzyło moje zmysły i percepcję estetyczną,

drogą oszustwa dokonanego na wiernych o wiele tragiczniej skończyłoby się najwyraźniej nie dla niego, w tym gorszym wariancie cierpiącego raptem zasłużoną ewentualnie karę za rozbój moralny... Pojmanego traktowano nader dobrotliwie, z szacunkiem, nieco teatralnie, tzn. na niby, boć męki świętego na krzyżu wprawdzie nie stanowią dlań przyjemności, ale i nie są czymś żałobnie nieodwracalnym. Przeszkodzili egzekucji wystraszeni grzybowszczanie, przy czym z motywów absolutnie cywilnych: przerazili się afery na niespotykaną w kryminalistyce skalę! Inkwizytorów pobito i przepędzono. Zmową milczenia uchroniono wieś przed dociekliwością policyjnych inspektorów, łasych na nietrywialne wypadki, dorabiających się awansów i medali na człowieczej głupocie i zbrodni.

Eliaszowszczyzna tajała w oczach. Ponieważ zapachniało wendettą — ciągle nachodzili Grzybowszczyznę jacyś wyzuci z jakichkolwiek szans wczorajsi włościanie z nigdy nie słyszanych dotychczas miejscowości na Polesiu i Wołyniu, z Zaniemenia i spod Stołpców — tutejsi zabrali się do porządkowania pobojowiska i przywracania ładu, mając wreszcie dość Eliaszowej imprezy. Staruszek natomiast popadł w nastrój destrukcji, wynajął sobie ochroniarzy, pogonił kota "trzecim kapłanom", przystąpił do licytowania obiektów Wierszalina, na odlew walił jałowcowym kijem nieświadomych wydarzenia nowych przybyszów, szerokie swe piersi dekorował orderami, których nie pożałowały mu różne urzędy zadowolone jego przeciwdziałaniem komunizowaniu się hołoty... Mierzono z salonów warszawskich do dwóch zajęcy, tak naprawdę: prorok Eliasz nieźle osłabiał prorosyjskie prawosławie, napuszczając na kler biedotę wiejską, anarchizując parafie. Skarbu państwa szczęśliwie to nic nie kosztowało, tumult szerzył się bez zabiegów agenturalnych, autentycznie, uroczo naturalnie. Unikalna okazja!

— Wytęskniony koniec świata, do którego nie doszło... Jakże tak? Czyż nie był nim upadek wszechwizji proroka Eliasza z Grzybowszczyzny, który, podobno bez oporu, wykopał sobie grób i nieprzymuszenie wszedł do niego w czas klęski wrześniowej trzydziestego dziewiątego, kiedy w nocy przyszli po niego inni samozwańczy naprawiacze świata, właśnie z komunistycznej jaczejki podziemnej z okolicznego sąsiedztwa?! Dziwny ten świat bez przerwy się kończy; Eliaszowi wtedy, komunistom o pół wieku później. No, a samej Grzybowszczyźnie skończył się jakoś tak pośrodku między jednym i drugim. Dziś porasta młodymi brzózkami niejedna ulicówka w kryńskiej włości. W zapadłych stodołach lęgnie się dziki zwierz, w opuszczonych do-

czyniąc ze mnie czytelnika dość wybrednego. Zatem w różnych okresach swojego życia różne odnotowałem miłości i antypatie. Były dzieła, które swoim kunsztem i wielkością przygniatały mnie do ziemi, paraliżowały wolę, prowadziły do zapaści twórczych; były i takie, które — jak samoloty wynoszące szybowce na wysokość, w przestworza — potęgowały moją wyobraźnię, stawały się dla mnie żywym impulsem twórczym. Te utwory bardzo pragnąłem mieć przy sobie, na własność. Pamiętam, współmieszkaniec akademika na Kickiego któregoś dnia kupił poemat Louisa Aragona *Elza* i nieopatrznie dał mi do poczytania. W tym samym dniu książka zmieniła właściciela. Speszony kolega zostawił na okładce taką oto dedykację: "Janowi Cz. nie przeczytany tomik Aragona za marne 20 zł odsprzedałem — R. Sulima. W-wa 15.III".

Wstrząsnął mną w swoim czasie — nie jako pierwszy z poetów, ale w ogóle i Louis Aragon, i Charles Baudelaire, i Guillame Apolinaire, i Rainer Maria Rilke, i Federico Garcia Lorca, i John Donn, Walt Whitman, i Siergiej Jesienin, Borys Pasternak, i Bolesław Leśmian, Miron Białoszewski, Stanisław Grochowiak — a więc różni, bardzo niepodobni do siebie twórcy. I jeszcze wielu poetów. Z różnych epok i stron świata. (...)

Jak widzi Pan swoje miejsce w ruchu literackim "Białowieża", jednorodnym narodowościowo — jako poeta dążący ku uniwersalizmowi?

Białoruski ruch literacki w Polsce nie jest zupełnie jednorodny. Niemniej można mówić o dużej zwartości tego środowiska. Rzecz przy tym interesująca: od początku istnienia Stowarzyszenie Literackie "Białowieża" nigdy nie ogłosiło żadnego manifestu literacko-estetycznego. Swoista "bezprogramowość" była tu wyrazem nie tylko młodzieńczości "białowieżan", ale także — antycypując ducha demokracji — zdrowej, bo opartej na całkowitej tolerancji i wolności wypowiedzi twórczej, polityki kulturalnej tych kolegów, którzy ów ruch inicjowali i stali na jego czele. Z tego względu nikomu tu nie było ciasno. Temu w dużym stopniu należy zawdzięczać, że wykrystalizowały się bardzo różne indywidualności twórcze — Sokrat Janowicz, Włodzimierz Hajduk, Aleś Barski, Wiktor Szwed, Nadzieja Artymowicz, Michał Szachowicz, Zofia Saczko...

Formy wypowiedzi poetyckiej zdominowały w "Białowieży" inne rodzaje twórczości. Zaś w poezji na czoło wysunął się zdecydowanie wiersz liryczny, zatem gatunek, w którym pierwiastek subiektywny jest głównym wyznacznikiem stosunku do rzeczywistości. Wiersz, gdzie domenę tematyczną stanowią wewnętrzne doznania, emocje, przekonania, przeżycia polityczne, religijne, patriotyczne, refleksyjne, miłosne. Wiersze "białowieżan" odzwierciedlają ten stan rzeczy. Nietrudno tu znaleźć erotyki, motywy religijne, jest sporo wierszy o "małej ojczyźnie"... Są także utwory o wartościach ponadczasowych.

Sztuka jest "wszystkożerna", to znaczy nie gardzi żadnym tematem, wątkiem, problemem, ani materiałem, ani narodowością. Nie jest wybredna jeśli chodzi o czas i przestrzeń. Domaga się jednak oryginalności. Oryginalność jest jej cechą rozpoznawczą i najwyżej cenioną w naszych czasach. Ale jak osiągnąć stopień niepowtarzalności? Czy wspinać się na wyżyny intelektu, czy zejść do pieczary Platona, czy może lepiej pogrążyć się w otaczającej nas codzienności, by odczuć piękno i zarazem tragizm chwili naszego istnienia? Jak wiemy, nie ma na to żadnej recepty. A wiedza, jaka istnieje na ten temat, niczego nie gwarantuje i nie zapewnia.

Jestem w "Białowieży" od momentu jej powstania, w jakiś sposób ona mnie kształtowała i ja — mam nadzieję — również wpływam na jej historię.

Fragmenty wywiadu pochodzą z książki Teresy ZANIEWSKIEJ "A dusza jest na Wschodzie", Białystok 1993.

---

mostwach bezdźwięcznie furkoczą nietoperze, w porzuconych ogrodach i sadkach nieprzejrzane chaszcze, z których przy wietrznej pogodzie wyjrzy czasami, niczym pradawny bożek pogański, spękany słup powalonego ogrodzenia. Gdzieś melancholijnie pohukuje mądra sowa.

Pięćdziesiąt pięć lat minęło od tamtej jesieni, gdy skończył się świat Eliaszowi Klimowiczowi. W tym ponad półwieczu odbyło się kilka ważniejszych dla ludzkości ostatecznych zejść, lecz dla samej Grzybowszczyzny i okalającego ją horyzontu nie miało to już żadnego znaczenia, jak obojętny jest ubitemu wojakowi wynik bitwy. Spośród kilkudziesięciu ongiś wokoło wsi, właściwie nie ocalała dzisiaj ani jedna, niczym po jakiejś katastrofie nuklearnej... Jak na ironię losu, pulsuje życiem w rozległej terytorialnie gminie krynkowskiej dawny zaścianek szlachecki, bojarskie za Wielkiego Księstwa Litewskiego, dworkowate Szaciły. Brzmi to ironicznie: zapomniani posiadacze chłopów przesiedli się obecnie na maszyny rolnicze, znakomicie sobie radząc po przeczekaniu pofeudalnego industrializmu komunistycznego. Samo chłopstwo nie zdzierżyło marksistowskich brewerii, umykając w tempie exodusu do miast, kryjąc się w anonimowych molochach fabryk. Komunizm o tyle podobnie poszedł w ślady proroka, wznosząc swój globalny tym razem, Wierszalin, że z takiej perspektywy czasu jego upadek wydaje się czymś banalnie oczywistym. To dziwne, iż budowniczowie Raju nigdy nie wygrywają.

Nigdzie, w najgłuchszym zakątku Polski, nie spotkasz teraz takiej pustki i bezludzia, jak w gminie Krynki. Jeszcze jedna dekada i ostanie się tutaj wójtowate miasteczko z rodzinnym small businessem i z Szaciłami owymi na doczepkę; gdzieniegdzie zgorzkniały farmer w starokawalerstwie (jakaż dziewoja zechce zamęścia na odludzie?). Kraj nasz póki co przebiera nogami za panią Europą, niczym paralityk za zwiewnym mirażem... Czasami pomyślę sobie, że wina w pustoszeniu mojej małej ojczyzny tkwi o wiele bliżej, aniżeli naród i państwo przezeń wytworzone. I wtedy powracam do rozpamiętywań nad opisanymi zdarzeniami. Ubieram się ciepło i wędruję do niszczejącej cerkiewki grzybowskiej. Z każdym rokiem coraz trudniej jest trafić do niej, by troszeńkę nie pobłądzić jednakże w stopniowo pokrywanej puszczą okolicy. Zarastają samosiejem pamiętane ścieżki-dróżki.

Coś się kończy, i nic się nie zaczyna. Wraca las i prehistoria.

Wiosna '94

Sokrat JANOWICZ

Droga Redakcjo!

Z bólem przeczytałem w "Czasopisie" nr 2 artykuł "Szlak znaczony krwią", o mordach dokonywanych w pierwszych latach powojennych na bezbronnych, spokojnych prawosławnych mieszkańcach wsi Zaleszany, Wólka Wyganowska, Suchowolce, Wiluki, Malesze, Szpaki, Zanie — za to tylko, że ludzie ci urodzili się jako nie-Polacy i niekatolicy. Ich oprawcy nosili na czapkach trupie czaszki, a dokonywane przez nich mordy miały rzekomo obalić to, co zostało ustalone przez mocarzy ówczesnego świata w Jałcie i Poczdamie i spowodować zbudowanie — według ich słów — "wielkiej, wolnej, sprawiedliwej i katolickiej Polski". Nie wyciągnęli oni żadnych wniosków z niedawno zakończonej wojny i porażki ideologii nastawionej na budowanie wielkości na krzywdzie innych narodów. (...)

Trzeba mieć nadzieję, że już nikt nie będzie świadkiem podobnych wydarzeń, które tak tragicznie wpisały się w nasze losy.

Wasz stały Czytelnik
(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

Szanowna Redakcjo!

Piszemy w sprawie artykułu Pana Jerzego Kaliny ("Czasopis" nr 3, 1995 r.). Żądamy wydrukowania tego listu w całości, bez żadnych zmian i skrótów.

Domagamy się wyjaśnienia: jakim sposobem nasz list otwarty wysłany do "Tygodnika Podlaskiego" dostał się do "Czasopisu". O prawach autorskich Państwo nie słyszeli? Nikt nas nie zapytał o zgodę na publikowanie jego tekstu (nawet we fragmentach) w "Czasopisie". List otwarty nie staje się jeszcze publiczną własnością. Na przyszłość radzimy uważać.

W naszym liście otwartym ("Tygodnik Podlaski" z 19.02.1995 r.) nie było żadnych kłamstw. Wiedzieliśmy dobrze co piszemy i pod czym się podpisujemy. **Niech Pan Kalina liczy się ze słowami!** Nie wie Pan, co znaczy kłamstwo. Przytaczanie urywków listu otwartego, wyrwanych z kontekstu — to jest właśnie kłamstwo i manipulacja. Wygodnie opublikować to, co pasuje Panu Kalinie?

Z jego artykułu zieje nienawiść i nietolerancja. W dodatku taki ktoś martwi się o nauczanie w Bielsku. Śmie Pan zarzucać nam, że uczymy nieprawdy i nietolerancji? Widzi Pan "źdźbło w naszych oczach, nie zauważając belki we własnych". Dlaczego nie martwił się Pan wcześniej? Kiedy uczono bzdur o Rewolucji w Rosji, nie mówiono o Katyniu, deportacjach Polaków w głąb ZSRR, o mordowaniu ludzi w UB-eckich katowniach?

Na szczęście podręczniki i nauczyciele z tamtego okresu odchodzą. Do głosu mogą dojść ludzie, którzy piszą i uczą o prawdziwej historii. Panu Kalinie najwyraźniej to przeszkadza. Tak jak przeszkadza Mu też Pan Jerzy Kułak. To właśnie Panu Kułakowi zawdzięczamy materiały źródłowe i informacje ściśle historyczne. **Za kształt listu otwartego i sformułowania w nim zawarte jesteśmy odpowiedzialni tylko my.** Osoby Pana Kułaka prosimy w to nie mieszać. On **nie specjalizuje się** w "wynajdywaniu okoliczności łagodzących zbrodnie", a w badaniach działalności podziemia na Białostocczyźnie w latach 1944-56. Jest człowiekiem, który pisze prawdę o historii tego rejonu i to historii prawdziwej, a nie przerabianej wstecz i na bieżąco. Pisze opierając się przede wszystkim na dokumentach, a nie tylko relacjach świadków: składanych po 50 i więcej latach. To jest postępowanie rasowego historyka, a nie kogoś, kto opiera się na emocjach. Według nas Pan Kułak ma "anielską cierpliwość", że za napady na Jego Osobę Pan Kalina i jemu podobni jeszcze nie znaleźli w swoich skrzynkach pocztowych wezwań do sądu. Ale "Psy szczekają — karawana idzie dalej".

Kończąc zastrzegamy, że nie będziemy wdawać się w żadną polemikę z Panem Kaliną czy kimkolwiek z redakcji. Nie dyskutujemy z fanatykami. Pisanie, że Białorusini byli krzywdzeni przez Polaków, a sami są niewinnymi barankami, to klasyczny przykład szowinizmu.

Radzimy: niech "Czasopis" trochę zmieni ton, bo czyta się go — delikatnie mówiąc — z niesmakiem.

Zobaczymy, czy będziecie mieli dość odwagi, aby wydrukować ten list. Na zarzuty odpowiadać nie będziemy, ale pamiętajcie: si vis pacem, para bellum.

Z poważaniem

[Pieczęć: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność" Komisja Zakładowa Pracowników Oświaty i Wychowania w Bielsku Podlaskim]

Pana Kułaka serdecznie przepraszamy za sprawione kłopoty i bardzo dziękujemy za pomoc.

[Podpisów brak]

Od autora

W związku z opublikowanym wyżej "listem" informuję, co następuje:

1. "Prawo Prasowe" ani ustawa o prawach autorskich, ani żaden inny akt prawny nie nakłada na dziennikarza obowiązku uzyskiwania zgody na cytowanie części materiału opublikowanego w innym periodyku, pod warunkiem, że autor wyraźnie poda źródło, skąd cytat pochodzi. Artykuł 14 p. 2 "Prawa Prasowego" stwierdza: "Dziennikarz nie może odmówić osobie udzielającej informacji autoryzacji dosłownie cytowanej wypowiedzi, o ile nie była ona poprzednio publikowana". W związku z tym, zarzut sformułowany w "liście", oprócz tego że jest bezsensowny (listy otwarte pisze się po to, by z ich treścią zapoznać możliwie największą liczbę osób), jest również bezzasadny.

2. Żałuję, że autor (autorzy?) "listu", obok demagogicznego bełkotu, pogróżek i inwektyw pod moim adresem oraz peanów na cześć "rasowości", "ściśle historycznych źródeł i informacji" oraz uprawiania "historii prawdziwej, a nie przerabianej wstecz i na bieżąco" w wykonaniu Pana J. Kułaka, nie pokusili się choćby o próbę obalenia moich agrumentów. Ja w każdym bądź razie nadal twierdzę, że autorzy "Listu otwartego" **kłamali** pisząc, że "trudno ustalić, co się działo w Zaleszanach" krytycznego dnia 1946 roku; o tym, jakoby oddział "Burego" z Zaleszan szybko się wycofał, a zamknięci w jednym budynku mieszkańcy uratowali się; oraz jakoby w pozostałych wsiach **pacyfikowanych** przez oddział NZW PAS ginęli jedynie konfidenci NKWD. Prawdziwości faktów zawartych w artykule "Furmanką po śmierć" gotów jestem bronić w każdych okolicznościach.

2. Nigdy i nigdzie nie napisałem, że "Białorusini byli krzywdzeni przez Polaków, a sami są niewinnymi barankami". Jest to typowa i powszechnie wykorzystywana argumentacja w przypadkach, gdy nie ma się nic do powiedzenia, a chce sięb komuś "dokopać".

3. W zasadzie "Czasopis" nie powinien zamieszczać powyższego "listu", gdyż nie jest on opatrzony podpisem, i nie ma w nim merytorycznych uwag

do treści mojego artykułu. Opatrzenie anonimu pieczęcią Komisji Zakładowej "Solidarności" Pracowników Oświaty i Wychowania w Bielsku Podlaskim bez czytelnego podpisu autora jest nadużyciem służbowym, którym powinny się zająć władze Związku. No bo skąd wiadomo, że autor (autorzy?) anonimu nie wykorzystali pieczęci "Solidarności" w celu ośmieszenia związkowców i jej samej lub siania waśni narodowych. Lektura anonimu upoważnia niestety do tego rodzaju obaw.

Jerzy Kalina

Sz.P. Prezydent Miasta Białegostoku

Związek Białoruski w Rzeczpospolitej Polskiej wyraża swoje niezadowolenie z powodu praktyk dokonywanych przez większość administracji spółdzielni mieszkaniowych w Białymstoku, polegających na uniemożliwianiu odbioru telewizji białoruskiej w sieci kablowej. Rażącym przykładem tego rodzaju zachowań jest działalność Zarządu S.M. "Elemencik" (ul. Duboisa 16).

W maju 1993 r. uchwała Walnego Zgromadzenia Członków Spółdzielni zobowiązała Zarząd do podłączenia do sieci kablowej telewizji białoruskiej. Po licznych interwencjach mieszkańców uchwała została zrealizowana po upływie roku. W styczniu 1995 r. na wniosek Zarządu, telewizja białoruska została "zdjęta" z sieci kablowej. W odpowiedzi na zapytania członków spółdzielni o powód takiego posunięcia, zastępca prezesa Zarządu, Lech Pruszyński, argumentował to m.in. tym, że sygnał telewizji białoruskiej odbierany w Białymstoku jest za słaby i "zakłóca" inne stacje. Innym razem L. Pruszyński twierdził, że aby zapewnić odbiór telewizji białoruskiej należy zamontować specjalną antenę satelitarną (nota bene - telewizja białoruska nigdy nie była przekazywana za pośrednictwem satelity) lub zasłaniał się polskim ustawodawstwem, rzekomo uniemożliwiającym odbiór tego programu w sieci kablowej. L. Pruszyński wynajdywał cały szereg przeszkód, których wymieniać nie będę, gdyż ośmieszyłoby to powagę urzędu przez niego piastowanego.

Jednoznacznie i definitywnie przytoczone wyżej tłumaczenia L. Pruszyńskiego dementuje wypowiedź dyrektora Państwowej Agencji Radiokomunikacyjnej w Białymstoku, Bogdana Maja, który stwierdził, iż: **"nie ma żadnych formalnych przeszkód, aby odbierać telewizję białoruską w sieci kablowej w Białymstoku"** ("Niwa", 19.02.1995 r.). Pomimo tak jednoznacznego wyjaśnienia sprawy, L. Pruszyński nadal odmawia wykonania polecenia najważniejszego organu Spółdzielni, zobowiązującego go do zainstalowania telewizji białoruskiej w sieci kablowej.

Opisane wyżej praktyki, powszechne w naszym mieście, są rażąco sprzeczne z szeregiem umów i konwencji międzynarodowych, dotyczących ochrony praw mniejszości narodowych podpisanych lub ratyfikowanych przez Polskę, w szczególności zaś z podpisaną na początku lutego br. konwencją o ochronie mniejszości narodowych oraz "Traktatem o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy" ratyfikowanym przez parlamenty Polski i Republiki Białoruś.

Wobec tego proszę Pana Prezydenta by, korzystając z przysługujących Mu uprawnień, spowodował pomyślne zakończenie tej sprawy.

Z poważaniem

Eugeniusz Wappa
Przewodniczący
Związku Białoruskiego w RP

Do wiadomości:

1. Sejmowa Komisja do spraw Mniejszości Narodowych i Etnicznych
2. Wojewoda Białostocki
3. Komitet Helsiński
4. Konsul Generalny Republiki Białoruś w Białymstoku
5. Rada Nadzorcza S.M. "Elemencik"
6. Prasa

Z inicjatywy rodziców w Białymstoku podjęto próbę zorganiowania dwujęzycznego, polsko-białoruskiego, przedszkola dla prawosławnych dzieci.

W przypadku, gdy znajdzie się ok. 50 chętnych, istnieje możliwość powołania przedszkola w osobnym budynku w centrum miasta. W takim przedszkolu będzie realizowany normalny program wychowawczo-dydaktyczny, który zostanie wzbogacony o elementy nauki języka białoruskiego w formie zabawy, gier oraz będzie prowadzona katecheza prawosławna. Odpłatność w przedszkolu będzie taka sama, jak we wszystkich innych tego rodzaju placówkach; organ założycielski — Prezydent Miasta — jest ustawowo zobowiązany do zapewnienia warunków niezbędnych do normalnego funkcjonowania placówki.

W związku z tym, że wstępne prace organizacyjne należy zakończyć w połowie kwietnia, zwracamy się z prośbą do rodziców o zgłaszanie dzieci. Bliższe informacje można uzyskać pod numerami telefonów: 633-191 i 633-580; wpisać dziecko na listę można w naszej redakcji przy ul. Suraskiej 1, p. nr 57.

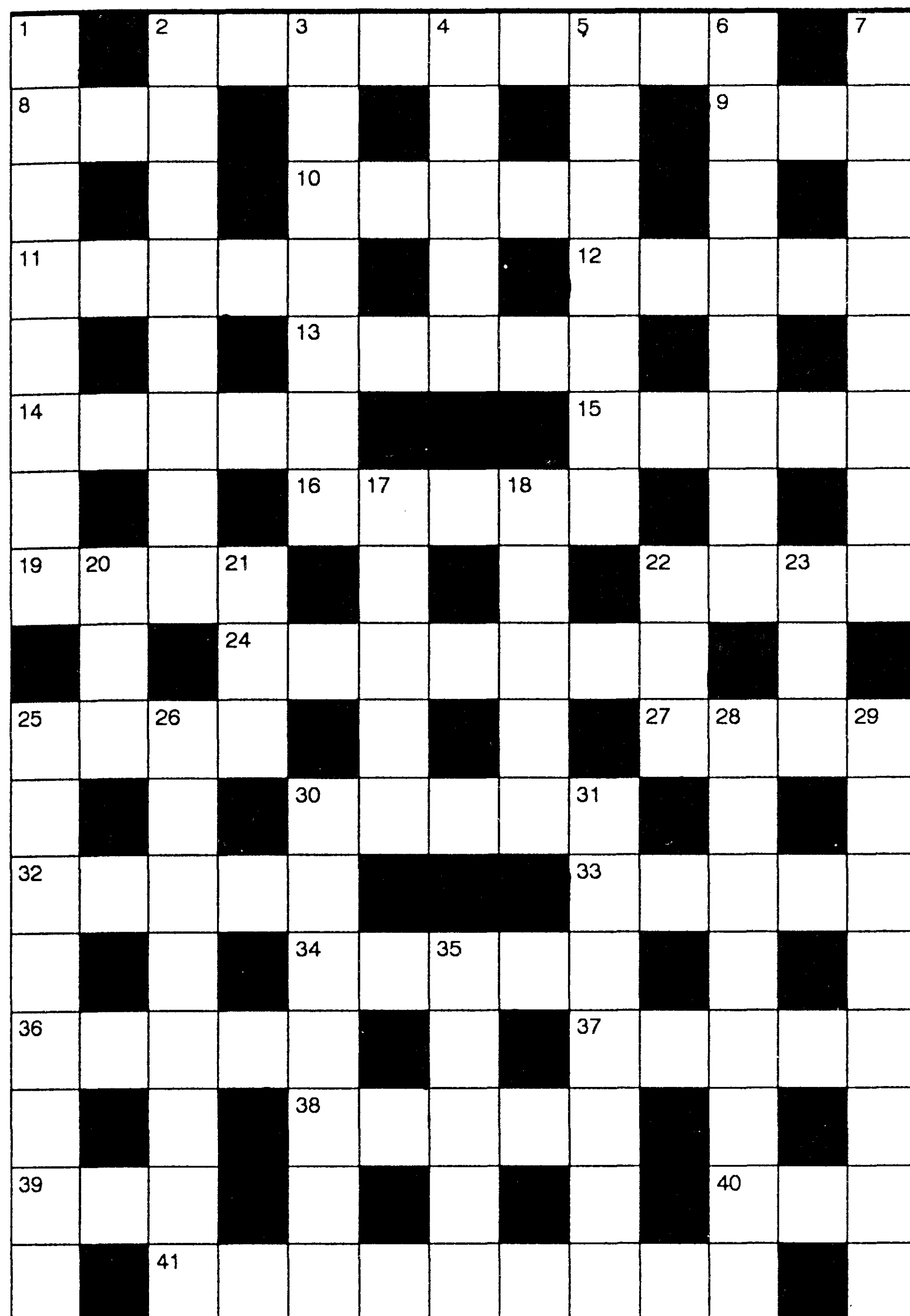
Białoruskie Towarzystwo Historyczne dziękuje następującym instytucjom i przedsiębiorstwom, których życzliwość sprawiła, że w 1994 r. mogło się ukazać cztery pozycje książkowe ("Białoruskie Zeszyty Historyczne" nr 1 i nr 2, Ireny Matus "Wieś Strzelce-Dawidowicze w tradycji historycznej", Wiesława Chorużego "Białoruski drugi obieg w Polsce 1981-1990") traktujące o historii Białorusinów na Białostocczyźnie:

Ministerstwu Kultury i Sztuki RP, Radzie Miejskiej Białegostoku, Radzie Miejskiej Bielska Podlaskiego, Radzie Miasta i Gminy Zabłudów, Radzie Gminy Gródek, Przedsiębiorstwu "Elwimex" z Białegostoku, Radzie Gminy Orla.

Mamy nadzieję, że również w bieżącym roku hojność tych i innych sponsorów sprawi, że w pełni zostaną zrealizowane nasze założenia wydawnicze.

Zarząd Białoruskiego Towarzystwa Historycznego

КРЫЖАВАНКА



POZIOMO:

2) patelnia, 8) usta, 9) głoska, 10) stolica polskiej piosenki, 11) piwnica, 12) szkic, 13) herezja, 14) wrzos, 15) szopa na głowie, 16) główna belka, 19) klasa, 22) kielich, 24) błysk, 25) ciało bez duszy, 27) ułamek, 30) owoc, 32) zespół jak zacier, 33) ziele jak owies, 34) ropień, obrzęk, 36) święty obraz, 37) np. Wielkanoc, 38) tętent, 39) kucharz na głowie, 40) sprasowany sześcian słomy, 41) odrzucanie.

PIONOWO:

1) kwiecień, 2) "drewniane" rzemiosło, 3) trzysylabowa stopa wierszowa z akcentem na końcu, 4) ochrona, 5) rośnie na pniach, 6) ogrodzenie, 7) dział fizyki, 17) tuba propagandowa, 18) wworek, 20) jeden Włocha nie zadowoli, 21) zupa, 22) tlenek węgla, 23) szew, 25) metalowa "metka", 26) opakowanie, 28) ukrzyżowanie, 29) manierka żołnierska, 30) saper ideowiec, 31) tłuścioch, 35) klub sportowy z Wiednia.

Odpowiedniki podanych określeń należy wpisać do diagramu w języku białoruskim.

"jadań"

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

POZIOMO:

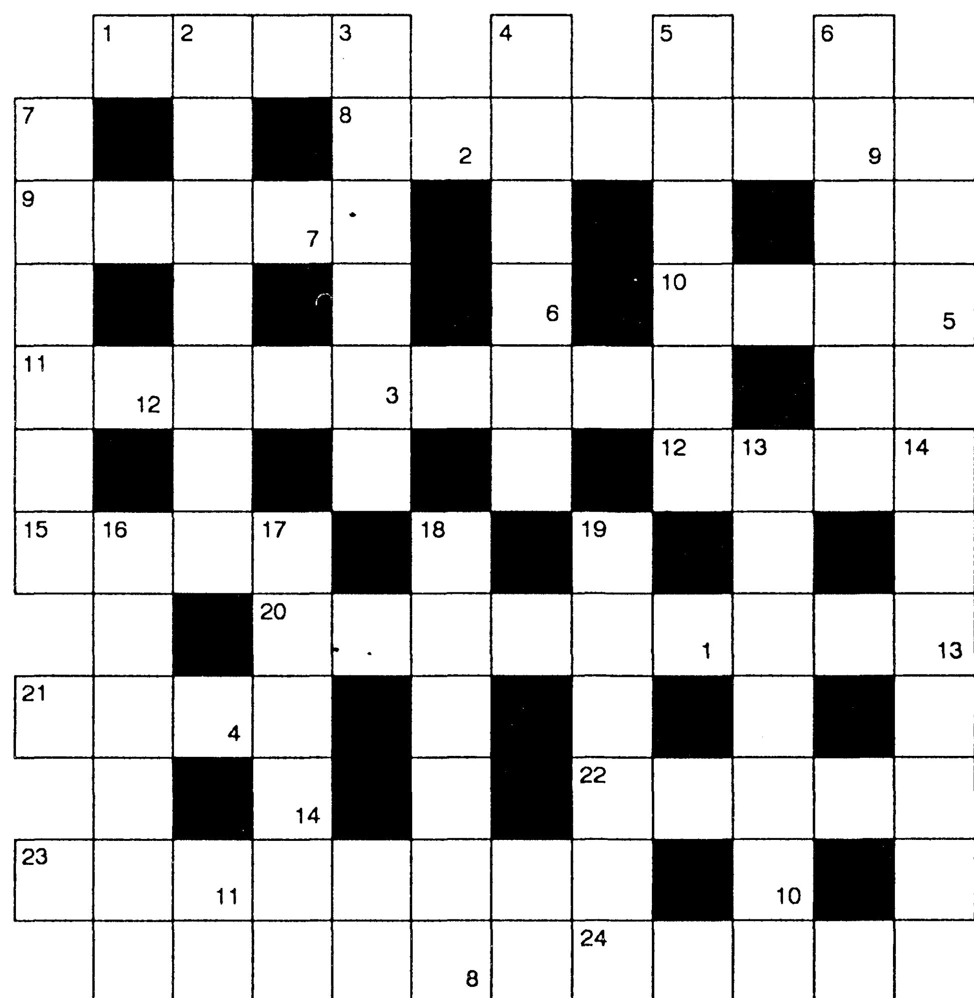
1) weneckie, trzyczęściowe, szwedzkie, podwójne, 8) Pogoń jej herbem, 9) bywa w rozterce, a ceres nie, 10) miasto w pobliżu Nazaretu, tu Jezus przywrócił do życia jedynego syna wdowy, 11) zwycięzca spod Orszy w 1514 r., 12) mózgowa na drzewach, 15) kara wstecz, 20) obecny przewodniczący BTSK, 21) w starożytnym Sumerze książę-kapłan, 22) szczególnie uczulona na kamienie, 23) w literaturze i sztuce obraz o symbolicznym sensie, 24) "miękki" las.

PIONOWO:

2) ambulans medyczny, 3) opera romantyczna C. M. von Webera, 4) nasz "najlepszy" krzyżówkowicz, 5) zawód Kaina, 6) bywa prosty i słodki, 7) kąśliwych owadów przecinek, 13) parlamentarna debata nad syberyjską rzeką, 14) głębinowa strefa mórz i oceanów, 16) imię 40. prezydenta USA, 17) część Biblii, 18) mało odważne zwierzę, 19) materiał bluzek i koszul naszej babci.

Rozwiązanie utworzą litery z pól oznaczonych od 1 do 14 w prawym dolnym rogu.

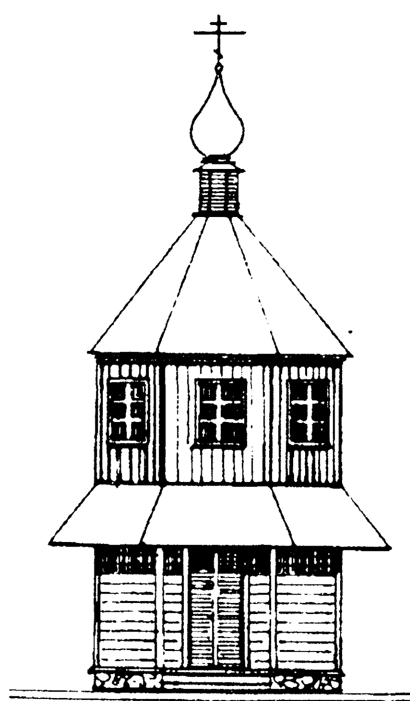
Aleksander SOŁOWIANOWICZ



Wśród Czytelników, którzy do 25 kwietnia br. przyślą prawidłowe rozwiązanie co najmniej jednej krzyżówki, rozlosujemy nagrodę książkową. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań obu krzyżówek rozlosujemy zestaw kaset magnetofonowych bielskiej "Małanki".

Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru: **JEST SZANSA NA OŚRODEK KULTURY BIAŁORUSKIEJ.**

Nagrodę książkową otrzymuje Pan **Włodzimierz Cilulko** z Sokółki. Gratulujemy! Nagrodę prześlemy pocztą.



Тут спачываюць нашыя продкі.., тут маліліся за нас манахі...

W tym roku planujemy rozpocząć budowę kaplicy (*czasowni*) pw. św. Mikołaja Cudotwórcy w Bielsku Podlaskim. Kaplica będzie wzniesiona na placu, gdzie do czasu pożaru w 1941 r. znajdowała się cerkiew Mikołajewska. Od wieku XV przy tejże cerkwi istniał monaster, zawsze wierny prawosławiu. Obecnie na placu przycerkiewnym jest usytuowana Szkoła Podstawowa Nr 3 oraz Liceum Ogólnokształcące z bjn, których uczniami są w większości prawosławne dzieci i młodzież, z rodzin białoruskich. Kaplica będzie wzniesiona na wolnej narożnej części placu. Swą architekturą ma przypominać spaloną dzwonnicę.

Wzniesienie kaplicy-pomnika będzie wymagać naszej ofiarności. Dlatego zwracamy się o materialne wspomożenie. Prośbę kierujemy szczególnie do tych osób, którzy z Bielskiem są duchowo związani — jego obecnych i dawnych mieszkańców. Niektórzy z nich niewątpliwie mają jeszcze w pamięci obraz cerkwi Mikołajewskiej.

Nr konta bankowego; PKO BP O/Bielsk Podlaski 5614-36663-136.

Rada Eparchialna Bractwa Młodzieży Prawosławnej Eparchii Warszawsko-Bielskiej

ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



МІЛЕЙЧЫЦЫ

Мал. Ю. Асенніка

Калі нехта захоча трапіць напярэймы з Бельска ў Мельнік, няхай падасца пехатою або конным возам старым „мельніцкім гостінцём". У палове гэтага тракту, пасля простай „як страла" дарогі і бездарожжа, мінаючы Мокрэ, Нурэць, Быстрэ, Собятыно падарожнік увойдзе ў Мілейчыцы. Гэтае паўсоннае сёння мястэчка многае спазнала на шляху сваёй даўгавечнай гісторыі.

Паводле падання, першыя яго пасяленцы былі шматнацыянальныя па паходжанню: і рускія, і ляхі, але былі і балгары, сербы і баснійцы, што ўцяклі перад туркамі: Мо' гэты нейкі Мілейко (царк. Мілій), што даў назву пасяленню, паходзіў якраз з тых паўднёвых славян.

У 1516 г. Мілейчыцы атрымалі ад караля Жыгімонта прывілеі на магдэбургскія правы. Абавязкам мілейчукоў было вядзенне карчмаў, піваварняў, словам, таго ўсяго, што служыла для адпачынку і пацехі здарожаным вяльможным і менш знатным вандроўцам. Добрае месцапалажэнне і неабмежаваныя магчымасці здабывання драўніны з гаспадарскіх пушчаў спрыялі хуткаму развіццю мясцовасці. У 1566 г. у горадзе працавала 13 рамеснікаў, дзейнічалі 2 карчмы мёдныя, 15 піўных (хмель вырошчваўся тут нядрэнна) і 10 гарэлачных карчмаў.

У І-ай палове XVI ст. кароль паклапаціўся таксама пра прывілеі для цэркваў і касцёла. Апрача Варварынскай царквы, у Мілейчыцах існаваў манастыр, відаць, пасвячаны св. Мікалаю. Мог ён знаходзіцца на месцы, дзе да 1887 г. быў храм св. Мікалая: на „Нікольшчыне", як і сёння называюць тое месца. Цяперашняя прыхадская Варварынская царква пабудавана ў 1899-1900 гадах.

Мілейчукі здаўна лічыліся людзьмі непакорнымі. Памятаючы дадзеныя ім каралём вольнасці, заўжды супрацьставіліся ўсялякім спробам абмежавання іх правоў. У 1589 г. пазналіся на сваім намесніку, авантурысту Яне Тэлятыцкім і не хацелі плаціць належнага чыншу. У 1596 г. а. Лявоцій з Мілейчыц выказаўся ў Бярэсці ад імя свайго і сваіх прыхаджан супраць пастаноў царкоўнай уніі. У першай палове XIX ст. мілейчукі ўзнялі бунт супраць арандатараў мястэчка, якія прымушалі іх адрабляць паншчыну. Пра тыя справы мілейчукоў і ўсю гісторыю мясцовасці шырока пісаў у сваім нарысе а. Грыгорый Сасна (Wiadomości PAKP 1-4/1980).

У Мілейчыцах цяпер ніхто не затрымліваецца на папас ці забавіцца ў карчме. Стары тракт Бельск-Мілейчыцы забыты. Ажывае толькі два разы ў год, калі праходзяць па ім сотні паломнікаў у Яблачын і на Святую Гару Грабарку.

Мікола САХАРЭВІЧ